

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Bonerowska № 12. CENA OGŁOSZEN: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1, na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i strona poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadeślane kop. 75. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadeślanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda № 1. Telefony: Redakcji 80-75, redaktora 68-75, Administracji 73-22. FILIE ADMINISTRACYJNE: Sienna № 2 tel. 114-30. ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81. *Za odnośnienie do domu dołącza się 10 kop. kwart.*

ŚWIAT

Rok VIII. № 4 z dnia 25 Stycznia 1913 r.

PENSYONAT WYTWORNY
D-rowej Z. Woyciechowskiej
Nowogrodzka № 40. Tel. 186-58.

„Tygodnik Polski”

organ niezależnych kół narodowych pod kierunkiem literackim
Gustawa Simona i Stefana Czarnowskiego.
Pismo polityczne, społeczne, literackie i artystyczne. Numery okazowe na żądanie.
Red. i Adm.: Warszawa, S-to Krzyska № 16. Tel. 228-33.



Francuska Tow. Ubezpieczeń na życie

„L'URBAINE”

Ulgi na wypad. niezd. do pracy
Filja dla Król. P. Marszałk. 138.

Oddział miejski Aleja Jerozolimka 21.

TROCADERO

Bar-Restauracja

Nowy Świat № 23. — Telefon 267-61.
Wydaje obiady z 5-ciu dań po 50 kop.
od godziny 1 do 5-ej po poł. Gabinety.

Pijcie Piwo

WALDSZLESCHEN

KAZIMIERZ OSSOWSKI

Inżynier i obrońca patentowy.

Petersburg—Wozniesiński Prospekt № 20.
Berlin—Potsdamerstrasse № 5.

DOM BANKOWY **Felicyan Sokołowski**
Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 5.

Hotel ROYAL w WARSZAWIE.
Telefon: 5-09, 8-29.
Winda. Elektryczność. Kąpiele.

Bardzo ważne dla Polaków.

Zwracamy uwagę, że Związek katolicki krawców w Krakowie (Florjańska 7 tuż przy rynku — Zakład centralny a filja we Lwowie plac Halicki 7) jest znanym od 13-tu lat największym w Galicji zakładem krawieckim na zamówienia. Wytrawne siły fachowe, wykształcone w akademiach krawieckich Wiednia, Monachium, Hannoveru. Największy skład krawiecki sukna, kamgarnów, szewiotów i t. d. angielskich i krajowych. Jest jedyną firmą w całej Galicji, która sama wyrabia w własnych warsztatach także ubrania gotowe. Po za tą firmą wszystkie inne sprowadzają ubrania gotowe z Wiednia i Prus od Niemców i Żydów.

Związek katolicki krawców jest jedyną kooperatywą krawiecką w całej Polsce.

Ceny są najprzystępniejsze.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Redaktor: Stefan Krzywoszewski.
Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

WYMOWA WOJNY.

Kiedy Kant w r. 1795 wydał swą pracę „W sprawie pokoju wieczystego”, byłon najautentyczniejszym wyrazem swego wieku, wieku oświecenia, wieku wiary w postęp absolutny, którego dźwigniami miały być: myśl czysta, humanitaryzm prawdziwy, reforma „towarzyska”. Już terazniejszość Kanta bywała krwawą ironią z optymistycznych marzeń wielkiego mędrca, najbliższa przyszłość zdawała się być zupełnem jej zaprzeczeniem. Gwiazdy Kanta i Goethego zostały rychło zaćmione przez gwiazdę Napoleona, tocząca się po widnokręgu, rozdieranym błyskawicami armat, purpurowym od krwi ludów. Co się stało z ideałami humanitaryzmu, myśli czystej, postępu?

Pytania analogiczne pojawiają się w analogicznym czasie. Koniec wieku dziewiętnastego był — jak druga połowa jego poprzednika — czasem intelektualizmu. Zdrowy rozsądek zdawał się wszędzie triumfować, a z nim nieodrodne jego dzieci: nauka doświadczalna, praca pokojowa, organizacja społeczna. Prowadzone przez nieustrudzoną w swej pracy myśl krytyczną, czynniki te przewodziły Europie, aż nagle — nagle dla obserwatorów powierzchownych — przychodzą zdarzenia, zdające się być ich zaprzeczeniem.

Cały nasz intelektualizm jest przystosowany do pracy pokojowej; wtem znaczna część Europy zostaje ogarnięta płomieniem wojny, a prawie wszystkie kraje i narody wstrząsane są trwogą lub nadziejami wojny, która, prędzej czy później, je także ogarnie. I darmo intelektualizm wysila najświet-

niejszą swą dyalektykę, apelując do rozumu, do uczucia, operuje racjami ekonomicznymi i etycznymi — niosąca ruinę naszej logiki i ekonomii, urągająca zdrowemu rozsądkowi i poczuciu moralnemu, wojna panuje, widmo jej coraz bardziej i do nas się zbliża.

Powiedział ktoś, że każdy z nas wie, iż musi umrzeć, ale w to nie wierzy. Taksamo wiemy, że wojna właściwie nie wygasa, toczy się gdzieś w Afryce, w Azji, na wyspach, nie jest wykluczona w Europie, ale niebardzo się w nią wierzyło, bo nie brało się jej w rachubę, jako możliwości realnej, jako czegoś, co wymaga pewnych przystosowań życiowych. Mądrym jest instynkt samozachowawczy! Gdyby człowiek ciągle myślał o chorobach, kalectwach, śmierci — życie wiele straciłoby z siły rozpędowej i uroku. Takie same skutki wywierałaby ciągła myśl o wojnie: paraliżowałaby. A jednak między ascetyzmem, utkwionym w „memento mori”, a lekkomyślnem „carpe diem” jest droga, godna nowoczesnych ludzi: przewidujących, walczących, myślących o przyszłości — tak samo w zastosowaniu do wojny.

„Si vis pacem, para bellum”. Starą tę maksymę, zapominaną przez czasy dobrobytu i pokoju, wojna przypomina gromowym głosem swej wymowy. Zachodzi głęboka przemiana w stosunkach. Państwa nie wypuszczają z rąk szali wojny i pokoju, ale zadaniami swemi dzielą się ze społeczeństwami. Skoro się czyta o setkach tysięcy „skautów” angielskich lub o dziesiątkach tysięcy członków „pociesznych rot”, — mamy obraz

ubojowania młodzieży przez państwa obecne; dalszym etapem jest nauka strzelania, zaprowadzona w szkołach niemieckich, austriackich etc. Oburzyliby się na ten widok wielcy wychowawcy i pedagodzy poprzednich pokoleń; po rozważeniu doszliby jednak może do przekonania, że stoimy tutaj przed głębokim procesem dziejowym. Państwa dochodzą do przekonania, że nie tylko zawodowy żołnierz jest powołany do bronięcia kraju. Militarizm w strasliwym swym pochodzie coraz więcej pochłania ofiar, a jednak nie widać jego kresu; w niektórych państwach bierze on pod śmiertelną swą komendę prawie wszystkich zdrowych mężczyzn od 19-go prawie do 50-go roku ich życia, a obrońców kraju jeszcze jest zamało, i jeszcze za słabo są do spełniania obowiązku przygotowani. Wszystkich więc zdolnych do władania jakąkolwiek bronią państwo współczesne chce przemienić w obrońców kraju, rozszerza tedy w nieskończoność kadry żołnierzy-obywateli, starych i młodych, rzemieślników fachowców przemienia w obowiązki prawdziwie powszechny, prawdziwie obywatelski. Czy tą drogą dojdzie Europa, jak szczęśliwie doszła już Szwajcarya, do systemu milicyi zamiast armii stałej — przesądzać dziś jeszcze nie można; ale to jest widocznem, że zasada „si vis pacem, para bellum“ państwa Zachodu i Rosya przenoszą na całe społeczeństwo.

To są szczepienia ochronne, jakie wywołała myśl o niebezpieczeństwie wojny, jakby wpatrzona w oddziaływanie myśli o chorobach i śmierci, — i na drodze tej posuwamy się coraz dalej. Na całej linii odwrót od dawnego i niedawnego intelektualizmu. Pamiętamy najwyższy jego ideał: wielki mózg; wszak ideał ten u niektórych poetów przybrał charakter marzenia o nowym typie człowieka, który będzie się składał z potężnego mózgu i nerwów — i z zanikającego coraz bardziej systemu mięśniowego. Intelektualizm w sferze moralnej umiłował przede wszystkim życie: lepiej jest być żywym psem, niż lwem nieżywym. Życie jest tak piękne, że tylko głupcy niem pogardzają. I darmo poeta wołał: „Życie nie jest najwyższem z dóbr!“ Odpowiadano w najlepszym razie wskazaniem na obowiązki wobec kultury, postępu etc. Wymowa wojny obudziła na całym świecie hart fizyczny, jako szczepienie uodporniające, oraz hart moralny, pogardza-

jący choćby śmiercią. „Ciało, jako choroba ducha“, organizm, złożony z mózgu i nerwów bez mięśni, niczym chyba dzisiaj nie jest już ideałem. Zdrowie, siła, ciało, dobrze wygimnastykowane, wracają do swych praw, okazują swoje znaczenie w powszechnej walce o byt. Intelektualizm wierzył, że zwycięży wszystko siłą ducha; cóż dlań znaczyła siła fizyczna wobec broni dalekonośnej; bagnet zdawał się być skazanym na wymarcie. Walki piechoty japońskiej okazały, że homerowskie boje piersią o pierś wcale nie należą do przeszłości — to samo wskazały zmagania się bułgarów z Turkami. Ale ciała, mające spełnić swój obowiązek, muszą być ożywione gardzącym śmiercią heroizmem. Kartki z wojny mandzurskiej i obecnej, południowo-słowiańskiej, przypomniały starą tę prawdę. Pojęcie „kultury“ znakomicie się rozszerza. Używanie i nadużywanie, choćby estetyczne, zgniła rozkosz i zgnili pokój przestają pretendować do miana kultury. Słowo to zyskuje treść bohaterką, tragiczną.

I w tej przemianie najgłębszy skutek wymowy wojny. „Tragiczna kultura“ — pojęcie Fryderyka Nietzschego, który niedarmo był pogromcą Dawida Straussa, zasłużonego pod pewnym względem, typowego racjonalisty. Typ filistra widział w nim Nietzsche i przeciwstawił mu swój ideał człowieka bohatera. Kto jest dlań bohaterem? Kto odważnie bierze na się wielkie cierpienie, idące w parze z Przeznaczeniem wielkiem.

Rozstrzygnięcie wielkich przeznaczeń — oto, co niosą wojny nowoczesne i ludy, oraz ludzie, biorący w nich udział. Kto nie zna okropności, kto nie odczuwa grozy wojny i kto bez poczucia strasznej odpowiedzialności śmiałyby przyłożyć rękę do wywołania krwi rozlewu? W upojeniu chyba retorycznym, porwany i do skrajności doprowadzony swym rozpędem, pisał Nietzsche, że nie cel dobry uświęca wojnę, lecz dobra wojna cel uświęca. Nie. Nikt nie ma prawa szafować żywotem ludzkim, kto nie wystawia także swojego, a swojego narażać nie śmie nikt, kto ma poważne obowiązki wobec przyszłości. Ale o tę przyszłość, o Przeznaczenie, ukrywające ją w swem łonie, właśnie chodzi. Dopóki słusznymi są, niestety, słowa Bismarcka, iż historyi nie robi się uchwałami parlamentarnych większości, lecz krwią i żelazem, dopóty wojna jest smu-

tną koniecznością. A gdy nią jest — należy iść na jej spotkanie, jak do operacji, która ma ocalić przyszłość, uczynić Całość, której się jest organem, silniejszą, żywotniejszą, zwycięską.

Stąd system środków ochronnych i uodporniających, do których stosowania czas wzywa nie tylko państwa, lecz i społeczeństwa; stąd potrzeba pogłębienia świadomości moralnej, przepojenia jej pierwiastkami tragizmu, jako konsekwencyami wymowy wojny. Pierwiastki te nabierają innego, niż dotąd, charakteru, gdy przechodzą od jednej klasy na ogół. Gdy każdy Anglik czy Szwajcar czuje się obrońcą kraju, odpada różnica między obywatelem a żołnierzem, odpada ogromna część brutalności, jaka do ostatniego przyrosła. Nie odpadnie brutalność samej wojny, ale właśnie świadomość powszechna, zaangażowanie się nią powszechnie najwięcej może się przyczynić do unikania jej, póki się da, do rozwiązania tych zagadnień, które ją powodują. Ale świadomość ta jest zarazem tragiczną, zmusza do życia twardego, do czuwania z napięciem i mocą. Szkoła to charakterów — nie tylko na czas wojny.

A humanitaryzm? a myśl czy sta, a postęp?

Żadna praca ducha nie idzie na marne, żadne aspiracje szlachetne, życiem poparte, nie tracą swej żywotności. Z wielkiego skarbcza sił i środków ludzkość w rytmice swego rozwoju wybiera raz jedne, raz drugie, ale potrzebne są wszystkie — celem bowiem rozwoju nie jest wybudowanie jednostronności, lecz potęga wszechstronna, prawdziwa pełnia życia. Jednostronny intelektualizm może być szkodliwy, intelekt sam — nigdy, jak, z drugiej strony, należy odróżnić atletyzm od pełnego zdrowia, heroizm od lekkomyślnego narażania życia. Wszystkie zdobycze ducha ludzkiego są ważne i cenne, o ile nie skierowują się przeciw samemu duchowi, nie dają mu usnąć na laurach, zatyć w zadowoleniu, odwracać się od dalszych zadań i zagadnień: odczucia i zrozumienia Przeznaczenia, które musi być spełnione. W dziele tem wojna bywa czasem koniecznością, i krwawy jej siew daje nieraz późnym pokoleniom żniwo.

F.





Silvestre. Fryderyk saski, ojciec Fryderyka Augusta, księcia warszawskiego.



Kupetzky. August II-gi w stroju myśliwskim.



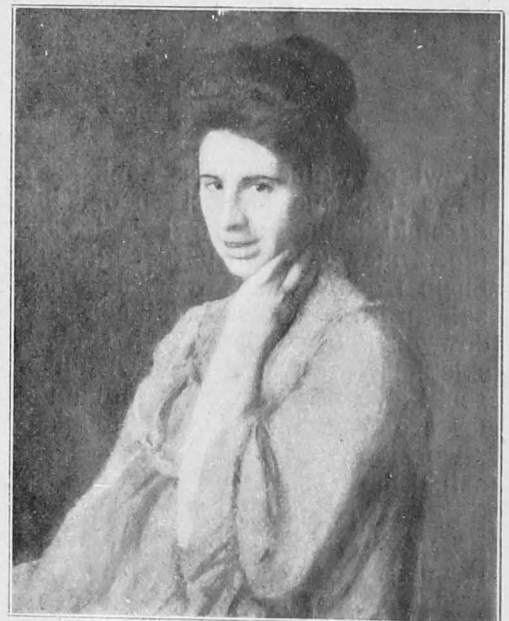
Lampi. Aleksander I-szy w młodzięcym wieku.



Schweikert. Portret damy.



Kotsis. Studium turka.



Trusz. Portret żony.

Galerya narodowa m. Lwowa.

Z szybkością bezprzykładną zdobył się Lwów w ciągu kilku ostatnich lat na dwie wielkie i doniosłego znaczenia instytucje publiczne: Galeryę miejską i Muzeum historyczne im. króla Jana III. Obie aspirują dumnie do miana instytucji „narodowych”, obie z coraz większym uprawnieniem mogą sięgać po ten zaszczytny tytuł.

Zwłaszcza Galerya. Jeśli zważy się nieprawdopodobną krótkość czasu, w jakim ten zbiór powstał, staje się przed nim ze szczerem podziwem i bez cienia nieścisłości należy go nazwać wielkiem dziełem. W siedemnastu salach około 1300 obrazów, w czem więcej, niż połowa, polskich, obok mnóstwa sztychów, rysunków,

miniatur, obok największego może zbioru medalionów w Polsce, nie licząc przedmiotów starego przemysłu artystycznego, które idą w setki, a wśród których są rzeczy wręcz prześliczne, nie licząc obrazów, złożonych dla braku miejsca „w lamusie” — oto Galerya lwowska. Owe ryczałtem nabyte zbiory ukraińskie, które swego czasu poruszyły tyle niedobrych namietności, a stanowiły zrab obecnej Galeryi, nie są już dziś bynajmniej na pierwszym planie. Ma Lwów, dzięki hurtownej tranzakcyi sitkowieckiej, swoich antycznych hollendrów, flamandów, hiszpanów, francuzów, niemców i włochów, wśród których nie brak uwierzytelnionych imion, zapisanych dobrze w historii

sztuki, i których powołany *ad hoc* niemiecki znawca (Frimmel) życzliwie osądził. Jednak to, co tworzy właściwy sens najmłodszej polskiej galeryi, co o jej kulturalnej randze decyduje, jest to Sztuka Polska.

Po studyum współczesnej sztuki polskiej trzeba dziś jechać do Lwowa, jak do Krakowa jedzie się, chcąc poznać starą. Krakowianin, który pyszni się, iż w swych muzeach i kościołach ma setki odwiecznych arcydzieł, który ma istotnie prawdziwego Leonarda, a nawet na murach swych patynowanych pałaców ogląda rzeźbę Stwoszowskie, ale któremu o duszy twórczej swego pokolenia mówi w Sukiennicach tylko „Hold pruski” i „Świeczniki Nerona”, tylko „Czwórka” Chełmońskiego i kartony Wyspiańskiego, krakowianin, który, chcąc dobrać się do skarbów nowego polskiego malarstwa, musi pukać do



Kotsis. Starucha.



Rauchinger. Portret damy.

drzwi prywatnego mieszkania, z obawą, czy nie zakłóci poobiedniej drzemki panu Feliksowi Jasińskiemu, z niewyraźnym uczuciem, podobnym trochę do zazdrości, błądzi po salach, kurytarzach i klatkach schodowych lwowskiej Galeryi. Nad zasklepioną Pełtwią urzeczywistnił się sen, który pod Wawelem śni nam się jeszcze ciągle: wielkie polskie miasto stworzyło skarbiec współczesnej sztuki narodowej.

„Już teraz — stwierdza słusznie dr. Mieczysław Treter („Nowsze malarstwo polskie w Galeryi miejskiej we Lwowie“) — śledzić można na podstawie nagromadzonych w Galeryi

plócien historyczny rozwój nowszej fazy naszego malarstwa, od Juliusza Kossaka i Grottgera po dzień dzisiejszy. Są braki bardzo ważne, ale już jest pewien punkt oparcia dla pracy, dla badań historycznych i estetycznych. Jest szereg dzieł kilku polskich malarzy, bez których obejść się nie będzie można przy poważniejszej pracy krytycznej, odnoszącej się do twórczości danego artysty. Nie będzie też mógł ich pominąć żaden historyk sztuki, któryby zamierzał sąd sobie wyrobić o całokształcie nowszego malarstwa polskiego“.

niejszy w tej plejadzie, twórca miay niepośledniej, Leopolski. Wśród 12 jego prac, które udało się zgromadzić, jest i największa pozostała kompozycja, przepiękny „Zgon A-cerna“.

Nareszcie doba rozkwitu: od Matejki i Grottgera.

Obu tych mistrzów ma Lwów rzeczy liczne i drogocenne. Matejko reprezentowany 19 dziełami, nie licząc około 60 rysunków. Niema tu



Wyspiański. Głowa dziewczynki.

Duży zastęp, około 250 artystów polskich, reprezentowanych w Galeryi, sięga saskiej i Stanisławowskiej epoki. W tej najstarszej grupie, którą tu trochę dowolnie i niezbyt szczęśliwie nazwano grupą „prymitywów“, są: Kupetzky, Silvéstre, Norblin, Grassi, Bacciarelli, Lampi, Bielawski, Topolski, Aleksandrowicz, Smuglewicz, Stachowicz, polacy, lub cudzoziemcy, w Polsce malujący, często spolszczeni. Coraz mniej tu brakuje imion wybitnych. Potem pierwsza połowa w. XIX. Najlepsi, najbardziej reprezentacyjni: Orłowski, Michałowski, Rusiecki, Rustem, Płonczyński, Orlikowski. Z tego czasu udało się stworzyć kolekcję, zajmującą zwłaszcza na gruncie lwowskim: malarzy, którzy we Lwowie pracowali. Są tu dwaj Rejchanowie, Schweikart, Stattler, Pitschman, Maszkowski Jan, Jabłoński Marcin, Kornel Schlegel (ciekawy portret Smolki, jako prezydenta sejm w r. 1848), wreszcie najwybit-



Debicki. Mały mizantrop.

Zbiory galeryi narodowej we Lwowie.



Augustynowicz. Córki artysty.



Rauchinger. Tancerka.



Jarocki. Szlachcic.



Lenc. Muzykanci.

wielkich płócien, z wyjątkiem „Ślubów Jana Kaźmierza“, ale jest rzecz tak cudownie piękna, jak „Dzieci artysty“, godna stanąć obok najświetniejszych dzieł mistrza, jest przepyszny „Sejm w Gaśawie“, szkic do niewykonanego obrazu „Konrad Wallenrod“, szkic do „Sobieskiego pod Wiedniem“, a także osobliwość: jedyny pejzaż Matejkowski, z wycieczki na Wschód. Dla studium wczesnych, młodzieńczych prac, z

których miał wyłonić się tytan polskiego malarstwa, a których Galerya zgromadziła szczególną obfitość, jest Lwów dziś nie do ominięcia. Następuje przytem niezwykle i pełne sentymentu zestawienie: ma Galerya najdawniejszą, jeszcze szkolarską kompozycję historyczną Matejki, malowaną olejno: „Carowie Szujscy, wprowadzeni przez Żółkiewskiego na sejm warszawski“ (rok 1853) i ma ostatnie, niedokończone dzieło

artysty, związane z dziejami Lwowa: „Śluby Jana Kaźmierza“ (rok 1893).

Niemniej słuszną chlubą Galeryi jest Grottger, którego pokaźną kolekcję 25 dzieł zdołano zgromadzić. Wyjątkową cechą tego zbioru stanowi ogromna przewaga rzeczy barwnych nad rysunkami. Pamiątkową wartość reprezentuje duża akademicka kompozycja: „Spotkanie Sobieskiego z cesarzem Leopoldem“,



Paweł Merwart. Sara.

za którą Grottger otrzymał w Wiedniu nagrodę 300 florenów i złoty medal. Wykupiono ją dla Galeryi lwowskiej z Pragi. Jako depozyt, znalazł się tu słynny cykl akwarel: „Szkola szlachcica polskiego”. Nabytek najnowszy jest zarazem najcenniejszym. To wspaniały, pełen grozy, nokturn powstańczy „Na pobojowisku”, z tej samej ideowej grupy, co „Polonia”, z tą dużą różnicą, że rzecz jest malowana olejno i wyjątkowo w znacznie większych rozmiarach. Wykupiono tę perłę z rąk niemieckich w Wiedniu.

Z Grottgerem i Matejką rozpoczyna się tłumny pochód ku sztuce

dzisiejszej, coraz bardziej rosnący liczbą i skalą talentów. Idą współcześnie tych dwóch: Juliusz Kossak z 10 pracami, portrecista Andrzej Grabowski, Rodakowski, Gerson, Siemiradzki, którego przepyszną kurtynę z teatru lwowskiego przeniesiono do Galeryi, Luszczykiewicz, Simmler, Loeffler, Kapliński, doskonały malarz lwowski, Fr. Tępa, który tu ma około 30 prac, malarz architektury, Gryglewski, dużego talentu malarz życia polskiego ludu, Kotsis, nadworny sułtański malarz, Chlebowski. Idą coraz bliżej nam: wielki Brandt, którego jedna z potężnych kompozycji, „Bogarodzica”, jest

własnością Galeryi, wielki Chełmoński, którego znana „Modlitwa przed bitwą” jest także własnością Galeryi, dobrze reprezentowany Alfred Wierusz-Kowalski, znakomicie reprezentowany genialny Witold Pruszkowski (17 prac, w tem kilka dużych mistrzowskich kreacji, jak „Śmierć Ellenai” i „Eloe”), parę rzeczy Gierymskich, parę Maurycego Gottlieba, wielka kompozycja Pawła Merwarta „Sara” (dar hr. Mierowej). Idą młodsi: Pochwalski, Zuber, Chełmiński, Żmurko, efektowny Krzesz, który tu ma swoje „Ostatnie akordy Szopena”, cukierkowy Czachórski.

Znowu chluba Galeryi: Malczewski Jacek z blisko 40 dziełami z różnych epok, zbiór niepospolity, jaki może znaleźć się zaledwie u Feliksa Jasińskiego, a tu w znacznej części tworzy dar jednego człowieka, p. Michała Toepfiera. Takich „prób syntezy”, które przedewszystkiem mówią o wartości Galeryi, jest więcej. Jest Stanisławski z 30 dziełami, Wyspiański z 9 portretami i około 50 rysunkami, Stanisław Dębicki z 27 pracami. Skromniej lub obficie występują: Axentowicz, Fałat, Wyczółkowski, Wojciech Kossak, Boznańska (wśród 6 dzieł znakomity autoportret), Lenc, Ruszczyk, którego może najsilniejsze dzieło, „Ziemia”, jest tutaj (również dar p. Toepfiera), Rauchinger, który ma kilka znakomitych portretów, wybitnie reprezentowany Mehoffer, Pankiewicz, Weiss, Tetmajer. Wchodzi się w istny zgiełk imion, talentów i rodzajów. Gdź jeszcze są w Galeryi Czajkowscy, Hofman, Żelechowski, Janowsky, Okuń, Dąbrowa, Wodzinowski, Bukowski, Kotowski, Filipkiewicz, Szczygliński, Kamocki, Podgórski, Trusz. Są niemal w komplecie wybitniejsi lwowianie: Augustynowicz, Popiel, Pająkówna, Rozwadowski, Reichan, Kryciński, Harasimowicz, Batowski, Wygrzywalski, Bratkowski, Sichulski, Jarocki, Pautsch.

To zresztą i tak część zaledwie.

Tworzy się nader zajmująca galeria portretów i autoportretów malarzy polskich, mająca już dziś około 30 płócien. Tworzy się dział rzeźby, którą na dziś reprezentują: Guy-ski, Barącz, Popiel, Błotnicki, Lewandowski, Wittig. Ale niemal wszystkich rzeźbiarzy polskich odnajdziemy we wspaniałym zbiorze medalionów, na który składa się zgórą 400 portretów polskich królów, wodzów, mężów stanu, poetów i artystów, w bronzie, marmurze, terrakocie, gipsie, w zbiorze, pełnym rzadkości i nieledwie unikatów, który, jako całość, stanowi unicum w Polsce.

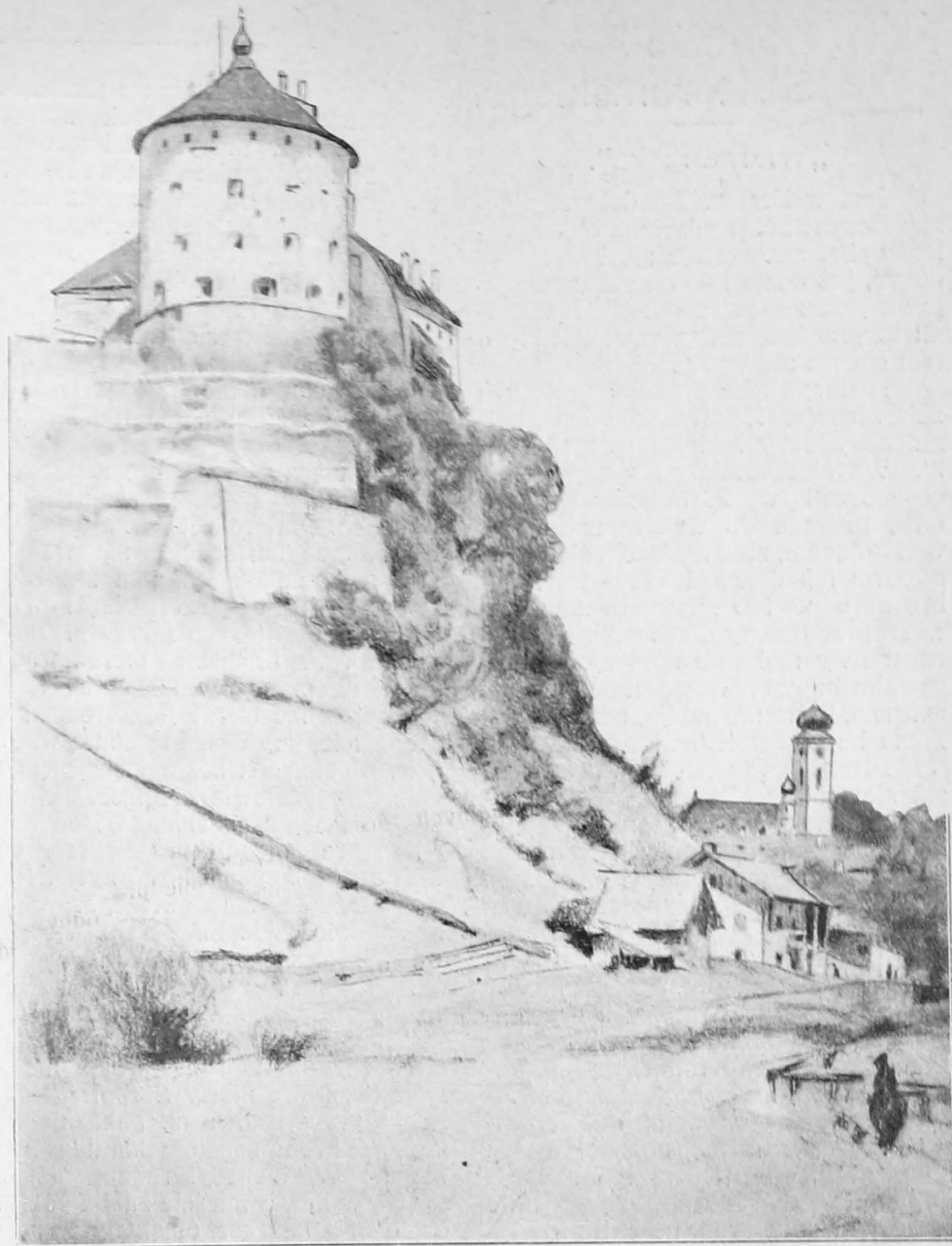
* * *

Gdy dzieło stoi gotowe, gdy piękna myśl stała się ciałem, nietylko godzi się, ale trzeba powiedzieć o tych, którzy wzbogacili niem Lwów i kulturę polską. Z pełnem uznaniem należy podnieść światło stanowisko lwowskiego mieszczaństwa, które w osobie swego przedstawicielstwa mu-

nicypalnego nie zawahało się rzucić kroci na cel, tak pozornie nie związany z życiem potocznym, jak Sztuka. Blisko pół miliona koron przepłynęło przez szczodłą dłoń reprezentacji miejskiej na ufundowanie Galeryi, której wartość realna znacznie już przekroczyła milion. Z dumą ma prawo spoglądać na nią jej inicjator i duchowy twórca, jej wierny stróż i pomnożyciel, wiceprezydent Lwowa, dr. Tadeusz Rutowski, któremu nie tylko czerwonoruska stolica, ale cały kraj, cała Polska, winna wdzięczność niewygasłą za stworzenie pomnikowego dzieła. Jego to młodzieńczemu entuzjazmowi, energii, niczem nie zrażającej się, uporowi szlachetnemu, zawdzięcza byt swój nowa, wielka już dziś, świetna i żywotna placówka kultury polskiej.

Jak żywotna — o tem zaświadczyć może ten obfity strumień ofiarności, jaki odrazu niemal wywołała idea Galeryi miejskiej Lwowa. Potrzeba było tylko punktu krystalizacyjnego, potrzeba było właśnie owych ryczałtem kupionych zbiorów ukraińskich, aby się prywatne kolekcje poczęły zrzucać swego indywidualnego bytu na rzecz większej, zbiorowej, publicznej całości. Obywatel lwowski, p. Michał Toepfer, przyniósł dar najhojniejszy: dziesiątki i setki gromadzonych przez siebie z miłością dzieł sztuki. Przyszedł bezcenny zbiór 400 medalionów polskich, złożony w wieczystym depozycie przez rodzinę Przybysławskich, zbierany przez długie lata przez znakomitego znawcę, ś. p. Władysława Przybysławskiego. Przyszły bogate dary i depozyty Włodzimierza Kozłowskiego, Wojciecha Dzięduszyckiego, pani Heleny z Dąbczańskich Budzvnowskiej (która przeważną część swych nieprzebranych skarbów sztuki darowała Wawelowi), pani Mierowej, pani Ziemiałkowskiej. Te ofiarne wpływy, łącznie ze stałą dotacją gminy, pozwalają Galeryi uzupełniać braki, na coraz wyższy wznosić się poziom, coraz skuteczniej służyć wielkiemu zadaniu.

A w zadaniu tem czynnik kulturalny i narodowy właśnie tu wiążą



Maks. Gieryski. Rysunek ołówkowy.

się ze sobą w szczególnie ścisły sposób.

Twórca lwowskiej Galeryi pisał przed kilku laty: „Od dłuższego czasu w umysłach patriotycznych a czujnych budzi się lęk, czy ten stary Lwów, co w tylu terminach bywał,

a przebył wszystkie, i tak ogromną kartę ma w dziejach Rzeczypospolitej — na nowe czasy, nowe zadania, nowe wichury i grozy dość sił ma i rynsztunku dla siebie i swej dzielnicy? To czujne pytanie podejmuje mieszczaństwo lwowskie i odpowiada na nie męskimi czynami. Przeciw „nowym wichurom i grozom“ stawia nowe okopy. Od lat kilku ze szczególną pilnością Lwów rozszerza i pogłębia swą polskość, podejmując nowe i przyspieszając dawne narodowe i cywilizacyjne zadania. W ich rzędzie stoi Galerya, ze swą wysoką narodową, artystyczną i pedagogiczną misją. Jest to ostatni „nowy rynsztunek“ polskiego Lwowa.

Wzniesiona dużym sumptem i niemniejszą mądrością gminy, imponująca już teraz bogactwem swych zbiorów, skazana jest jeszcze na komorne w obcym gmachu. Należy się jej teraz własna siedziba, własny monumentalny Pałac Sztuki.

Lwów.

Stosław.



Pruszkowski. Eloë.



Nowa powieść St. Żeromskiego.

„Wierna rzeka”.

Jest w Żeromskim dziwna nieustraszoność bólu; gdy inna dusza, bólem opita, zachłystuje się i woła: — dosyć, już dosyć! — on rozkazuje: — patrz jeszcze, patrz dalej! Inni mogli to przeżyć, a ty nawet wiedzy o tem chcesz się wyrzec?

Historia bólu przodków naszych zobowiązuje. Zobowiązuje do udźwignięcia choćby mniejszej części bólu. Współuczestnictwo w męce tych, co spoczęli w bezimiennych mogiłach, pociąga do współuczestnictwa w trwającym, stwarzającym się wciąż odnowa ich dziele, którym jest: dobro narodu. Nie zmore to nam stawia przed oczy Żeromski. Obraz cząstkowy męki, co była żywa, którą znieśli żywi ludzie, jest pchnięciem sztychu, które nie zabija, lecz zadrzemać budzi sumienia.

Pisząc swą „klechdę”, Żeromski nie maluje bitew, utarczek, strony wojennej. Pokazuje nam wypadki, jak się odbyły na wsi niechętniej, na opuszczonym, nawpół spalonym dworze i na duszach poszczególnych ludzi. W „Powieści o żołnierzu tułaczku”, w niektórych ustępach z „Popiołów”, jak w scenie pomiędzy szlachcicem Nardzewskim a urzędnikiem austriackim, lub w scenie z Michcikiem, którego zmuszają do odbywania pańszczyzny po śmierci Piotra Olbromskiego, odmalował Żeromski grzechy szlachty polskiej wobec ludu. W „Wiernej Rzeczce” ukazuje nam zato odwrotną stronę — ludu grzechy wobec tych, co byli świadomością w narodzie. Kiedy ranny bojownik wkracza do wsi, a chłopki z początku chcą go wiązać i odstawić do więzienia, potem zaś rzucają za nim śmiechem nienawistnym, urągawiskiem i błotem — to czujemy w tej chwili bezsilność naszą wobec ciemnoty, wobec duchowego bezwładu śpiących mas. Dawniej była w tem nasza wina — lecz już teraz „inni szatani byli tam czynni” — a nasz wpływ nie przełamał ich wpływu.

Opuszczony dwór, w którym leczy się okrutnie poraniony szlachcic, żyje życiem, pełnem niepokoju i okropności. Przychodzą to swoi, to obcy, a każdy wymaga strawy, przeryca wszystko, rewiduje i grozi. Przez dwór ten, jak przez ponurą sceneryę, przesuwa się wszystkie charakterystyczne postacie tych czasów: prosty powstaniec, przedstawiciel rządu narodowego, partya z lasu, oddział wojska, lekarz niechętny, wyrażający stosunek do wypadków spokojniejszej części społeczeństwa, współczująca dworowi żydóweczka, dziedzic, powracający z więzienia, by wkrótce umrzeć, wdowa po nim, wreszcie wielka dama, która dla bojów i klęsk ma tylko przekleństwo, która przez przesąd rodowy przekroczyć nie jest w stanie, a w ogólnej

klęsce rozumie tylko własne nieszczęście.

Życie w bezustannem niebezpieczeństwie i popłochu, życie, wiszące na włosku w pustym, zniszczonym dworze... A w nim dostojna kobieta polska, odpierająca spojrzeniem, pchnięciem nieugiętej duszy wszystkie napaści. Bohaterskiego ojca bohaterska córka, która, nie mogąc walczyć, lecz rany tych, co walczyli. Niestłchanym wysiłkiem energii ratuje człowieka nieznanego tylko dlatego, że cierpi, nie wiedząc jeszcze, że stanie się jej sercu najbliższym na świecie.

Pomiędzy chłopem, słuchającym tylko bata, a księżną, wygłaszającą dumnie, że nie rolą jej syna terać się w zgniłych barłogach, ukrywać w sianie, — że on jest pan i z rodu książę, — jest cały szereg ludzi ofiarnych, przez których pierś przeszła wielka ryna, bruźdząca pierś narodu.

I tu, malując ofiarę tych ludzi wysokich, nie bierze jej Żeromski w momencie, gdy dusza tą ofiarą wzrosła i przemieniła ból w ciche piękno. Ofiarę przedstawia Żeromski zawsze w chwili jej spełnienia, wśród największego tragizmu wyrzeczeń, wśród pękających wiązań życia. Rany pokazuje zawsze świeże, broczące krwią, niezasklepione. On wie, że wszelkie wcielanie prawdy, walka o lepszą formę życia odbywa się wśród cierpień okropnych, że idea wchodzi w życie po ruinach gmachów i ludzi. Opisując wojny napoleońskie, które niosły Europie deklarację praw człowieka, pokazuje na każdym kroku spustoszenia, idące za nimi. W Wenecji rabują dzieła sztuki, w innym mieście zabija pocisk dziecko, a starzec obłąkany z bólu kołysze jego poszarpane zwłoki... Oto na terenie polskim podczas szturm Sandomierza pada wspaniała wieża św. Jakóba, bo tego wymaga powodzenie walki, oto wśród lamentu wypędzają pod Raszynem chłopów z dobytkiem i podpalają wieś... Cierpienie krwawym potokiem spływa na ziemię za każdym stąpieniem nowej prawdy dziejowej. I w „Wiernej Rzeczce” widzimy okrutną mękę ranego Odrowąża na pobojowisku; krwawy zgon Olbromskiego, żalobę pani Rudeckiej i jej płacz przeraźliwy nad dziecinnem ubrankiem syna, daleką śmierć Brynickiego, z ostatnią myślą o córce...

Żeromski ma mężną wolę przyjęcia prawdy dziejowej. Przyzwyczajają, zastała czucie, by nie drgnęło, nie oszalało na widok rzeczywistości minionej lecz niezapomnianej. Lecz w myśli opanowanej wysiłkiem woli kołaczę się obraz niezatarty, lecz w sercu płyną nieutulone łzy. Łzami krwawymi nabrzmiała opowieść o wiernej rzeczce, która obmyła krew z ran, która pochowała w swym nurcie porzucone przez ściganego papiery, która przyjęła na swe dno nieodslonięte złoto, ofiarowane porzuconej przez jasnego księcia dziewczynie...

Gdzie szerokiem skrzydłem zamiata ziemię klęska, tam, niby pod kołami wozu Dżagernauta, giną zmiażdżone istnienia. Niezwykle warunki wprowadziły w życie Salomei miłość, która złamała jej życie. W zwykłych warunkach nie spotkałaby Odrowąża, nie zapłonęła ku niemu niezwalczoną miłością. Teraz — stało się. Lecz próżno będzie płonęła miłość — stanie między kochankami duma rodowa matki Odrowąża i — sprawa. Na pole bitwy wrócić chce rycerz, wydarty śmierci, wyleczony z ran rękami wiernej kobiety.

I tu, jak w wielu utworach Żeromskiego, jest tragiczne rozdwojenie między miłością a ideą. Salomea inna jest od dotychczasowych bohaterek Żeromskiego. Joasia w „Ludziach bezdomnych” biernie przyjmuje rozstanie, gdy Judym chce się poświęcić pracy społecznej. Księżniczka Gonzaga w „Sułkowskim” odgrywa rolę kusicielki, która chce Sułkowskiego od sztandaru jego odciągnąć. Tatiana w „Urodzie Życia” całym urokiem ciała, wszystką namietnością duszy walczy o to, by Rozłuckiego przykuć do siebie, by poza nią przestał widzieć poszarpany sztandar i zapomnianą mogiłę. Salomea jest tylko towarzyszką walczących, godną kochanką rycerza. W chwili, gdy na pole bitwy chce wracać, nie osłabi, nie zmaci mu duszy rozpacz swą i krzykiem. Nie ciśnie mu pod nogi zawiedzionej nadziei i lęku osamotnienia, i strzępów podartych duszy. „Nie zdradzi się przed tobą i nie zdradzi ciebie serce kochanki, polski rycerzu!” Żeromski opisuje raczej urodę kobiet lub ich lirykę miłosną, niż charakter. Najwięcej rysów określonych ma jeszcze cudzoziemka — Tatiana. Przepiękny typ „siłaczki” ukazuje się migawkowo, w chwili śmierci. Większość kobiet Żeromskiego streszcza w sobie piękno, wytworność, figuruje w precudnych momentach miłosnych, lecz niema wśród nich określonych indywidualnych typów, jak np. odróżający, lecz wyraźny typ Krystyny w „Róży” Katerli. Salomea ma w sobie energię, charakter, postanowienie samoistne. Nie wpływ to matki Odrowąża, że go do odjazdu namawia, że mu w milczeniu odjechać pozwala. Z własnej duszy wydobyła to postanowienie, by na drodze do spełnienia obowiązku ukochanemu nie stanąć.

Tak załamuje się dusza w chwili spełnienia ofiary. Zna Żeromski bezlitosny jej ciężar, ból straszliwy, lecz nie zna straszliwego szczęścia ofiary. Jakby zaprzysiągł się tylko krwawym ranom, a o cudownym kwiecie, rozkwitającym wśród cierni, nic zgoła nie wiedział. Lecz jego to dola — jego los wśród narodu — najsmroźszą mękę wiecznie przytomną jawić oczom. Bo, jak mówi w „Sułkowskim”: „Trzeba rozrywać rany polskie, żeby się nie zablizniły błoną podłości”.

Na tle grozy dziejowej rozwija

Żeromski piękny romans powstańca i młodej, dzielnej dziewczyny. Miłość, wieki sta sprawa, zajmująca tak wiele, zbyt wiele miejsca w życiu, wypełnia znaczną część jego książek. Z początku przedstawia Żeromski osoby kochanków, z ich cechami indywidualnymi. Lecz w miarę ich zbliżania się do siebie, giną odrębne ich cechy, zacierają się osobowości. Mamy przed sobą parę ludzką, mniejszą o to, o jakim imieniu, o jakich właściwościach. Chodzi nie o tych ludzi, lecz o odbywającą się w ich życiu tę samą a wciąż nienasycone rozkoszną sprawę miłości. Chodzi o sytuację miłosną, o wyrażenie czaru, piękna, niezgłębionej łaski miłości samej w sobie, nie o rozwój charakterów wśród perypetii miłosnych. Kochankowie każdej powieści są jak gdyby pretekstem tylko do wypowiedzenia nadmiaru liryki miłosnej, wszystkich tajemnic, wszystkich najskrytszych drgnięć miłości. Jakichże podniecających, rozkosznych, niewymownie pięknych chwil nie wymyśliła wyobraźnia artysty, by wydobyc z nich całą słodycz, całe upojenie, cały zawrotny szal miłości! W kreśleniu miłości jest Żeromski wirtuozem. Do czaru zmysłów umie dodać subtelne piękno, błękitną mgłę marzenia i ledwo wierzącego rzeczywistości zachwyty. Takie karty, jak miłość Rafała i Heleny de With, Niepołomskiego i Ewy, Rozłuckiego i Tatiany, Odrowąża i Salomei, należą do najpiękniejszych poezji erotycznej świata. Bo język, którym są pisane, jest prawie poezją samą. Bogaty, pełny, wnikliwy, zakrada się, jak szept kuszący, uderza, jak cios morderczy, szarpie, jak wichur zimowy, otacza wonią, jak ogród wiosenny. Nie określa uczuć, lecz przekłada je na jaskrawe, naoczne porównania, nie pozwala ani na chwilę myśleć tylko, pojmując, każde wciąż z wytężeniem bolesnym dotykać, widzieć, lub z niewymowną rozkoszą czuć i oddychać błogością.

Savitri.

Nowy profesor Wszechnicy lwowskiej.

Zygmunt Weyberg.

— A!... Kochany profesorze! kope lat...
— No, nie taka znów kopa, dopiero od października...
— Cóż tam we Lwowie?
— We Lwowie?... Odpowiedź dziennikarzowi trudna... co gazety piszą, nie będę panu opowiadał, a to, czego w gazetach niema?...
— W takim razie, jeżeli nie obserwacje i ich synteza, to chociaż wrażenia.
— To co innego. Zastrzegam się jednak, że będą to wrażenia osobiste, a tylko z natury mojego stanowiska mogą interesować kogoś, oprócz mnie. A więc, dzięki nadzwyczajnej uprzejmości mojego dawnego kolegi i przyjaciela, prof. S. Tołłoczki, mam pracownię doskonałą i zasobną, nieocenioną warsztat pracy.

Gorące poparcie fakultetu w ministerium daje mi rękojmię znacznego wzmocnienia środków pracowni w czasie najbliższym.

— A jakże ułożyły się stosunki osobiste pana profesora z fakultetem?

— Kto był wybrany przez fakultet jednomyślnie i jednogłośnie, tego stosunki się nie układają, tylko są już zgóry ułożone. Zresztą niewiele uniwersytetów może się pochłubić fakultetem, tak pełnym prostoty i ciepła życzliwego między kolegami. W moich kolegach lwowskich nie ma cienia pozy, nie „celebrują” oni, nie „zstępują z wyżyn” do uczniów; mówię panu, że



Zygmunt Weyberg.

wprost za serce mnie wzięli ojcowskimi obchodzeniem się z młodzieżą.

— A młodzież?...

— Zbyt krótkie jeszcze nasze stosunki, bym mógł o niej wyrazić zdanie; tyle tylko powiem, że mój wykład wstępny, w którym złożyłem swoje *credo* przyrodnicze, oparte na dwóch aforyzmach Bacon'a, odbył się, przy zapelnionej sali, że mi nie szczędzono oznak uznania, co zresztą stwierdziło „Słowo Polskie”. Uznanie to, wydaje mi się, ma już dziś podstawy trwałe — garną się uczniowie do mojej pracowni i niebrak ich na moich wykładach.

— A zatem panu profesorowi nie żal wcale Warszawy? — pytam z melancholią w głosie.

— O, to znów inny temat! Odpowiedzią najwymowniejszą jest moja bytność teraz po niespełna trzymiesięcznej nieobecności. Tam, drogi panie, mam życia treść, ale komfortu życia jeszcze sobie utworzyć nie zdołałem... i dlatego moje ferie, to Warszawa; zresztą, co panu będę długo tłumaczył... wszak obaj jesteśmy warszawiacy.

— Zapewne... a jednak pan profesor obowiązków swoich względem Warszawy nie spełnia.

— Jaki?

— „Świat” nie posiada ani życiorysu pańskiego, ani pańskiej fotografii.

— O, panie drogi, nie przypuszczam nigdy, że zaciekawia kogo mój wygląd lub rok urodzenia. Ale skoro pan sobie życzy... proszę, oto mój konterfekt, a urodziłem się... może mi pan daruje datę?... w Warszawie. Tu skończyłem gimnazjum i uniwersytet, magistrowałem się w Moskwie, doktoryzowałem się w Petersburgu.

— A!... pan profesor jest zatem doktorem...?

— Mineralogii i geognozyi. Jednak, ponieważ we wszystkich moich badaniach głównie posługiwałem się metodami chemii analitycznej, przeto tego przedmiotu katedrę powierzył mi uniwersytet lwowski.

— A może zechciałby pan profesor określić mi bliżej charakter swych badań?

— Owszem. Początek mojej działalności naukowej i pierwszą jej dobę stanowiły badania krystalograficzne, których wyniki drukowałem w „Wiadomościach matematycznych” i w lipskim „Zeitschrift für Kristallographie”. Niedługo jednak całkowicie pociągnęły mnie

chemiczna analiza i synteza minerałów, głównie glinokrzemianów. Z tej doby to pochodzą chemiczne badania granitów tatrzańskich i ich minerałów skałotwórczych, a także „Syntezy pirogenetyczne glinokrzemianów zasadowych”. Praca ta zajęła mi dwanaście lat czasu i ogłoszona była w wydawnictwach „Warsz. Tow. Naukowego”. Oto wszystko.

— Jaki? a odczyty przyrodnicze?

— To, panie drogi, nie jest nauka. To są moje „zabawki”, stanowiące rozrywkę dla moich przyjaciół. Lecz, jeżeli pan mi to przypomina, to, oprócz tych „zabawek”, miałem tu wiele innych: „Podręcznik krystalografii dla studentów”, „Wiadomości początkowe z mineralogii” dla szkół średnich, parę setek artykułów w „Wielkiej Encyklopedii ilustrowanej”, we „Wszechświecie” i innych czasopiśmiech. Wreszcie przetłumaczyło się też kilka dzieł obcych. Ale teraz te „zabawki” poszły w kąć — mam we Lwowie warsztat i nareszcie mogę się bawić tylko w glinokrzemiany.

— A jednak nie tracę nadziei, że Warszawa usłyszy pana profesora jeszcze nieraz, choćby z katedry w sali odczytowej.

— I ja o tem nie wątpię, bo nie umiałbym Warszawie niczego odmówić.

— A więc, rzucam panu profesorowi mefistofelesowskie „zobaczmy się jeszcze”.

b.

Z politechniki lwowskiej.

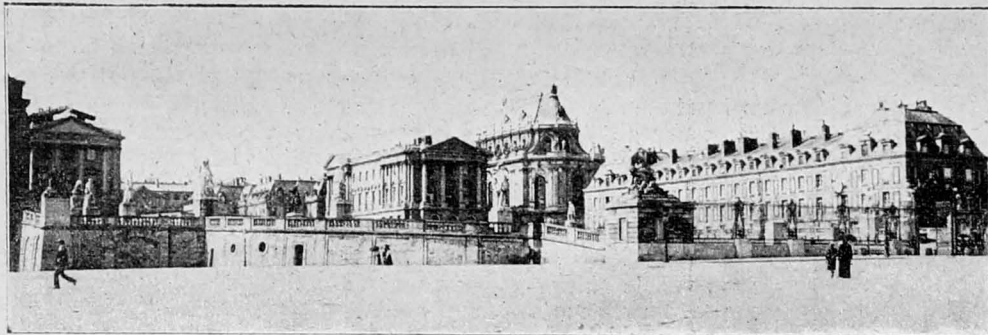
Katedrę estetyki i historii architektury w Szkole politechnicznej we Lwowie objął znany badacz tej gałęzi wiedzy, architekt krakowski, dr. Jan Sas Zubrzycki, pierwszy w Polsce „doktor nauk technicznych”. Prof. Zubrzycki ma za sobą długi szereg prac naukowych, z których najwybitniejsze: „Rozwój gotykyzmu w Polsce”, „Architektura kościołów Maryackich u nas”, „Bazyliki średniowieczne” i zarys syntetyczny p. t. „Filozofia architektury”. W dziele „Styl nadwiślański” uzasadnia dr. Zubrzycki tezę, iż odcień budownictwa, znany pod nazwą krzyżackiego, albo wiślano-bałtyckiego, oparty jest na prastarych elementach pol-



Prof. J. Zubrzycki.

skich. Dużą popularność zdobyły sobie podręczniki „Zwięzła historia sztuki” i wstępna nauka o stylach p. t. „Utwór kształtu”. Trwały pomnik pracy a także osobistej ofiarności prof. Zubrzyckiego stanowi znane wydawnictwo „Skarb architektury w Polsce”, które w czterech ogłoszonych dotychczas tomach zawiera około 400 tablic, przedstawiających najcenniejsze i najcharakterystyczniejsze zabytki budownictwa naszego. Drugie, młodsze wydawnictwo p. t. „Po ziemi naszej”, obejmuje w dotychczasowych 12 zeszytach architekturę katedr polskich. Prof. Zubrzycki jest powagą, jako znawca gotyku.





Pałac Ludwików w Wersalu, gdzie odbywały się wybory na prezydenta Rzeczypospolitej.

Wybór prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej.

Specjalna korespondencja „Świata“.

Czwartek, 16 stycznia, 1913 r.

Skończyły się lata siedmiu krów tłustych...

„Skończyły się piękne dni Elizeum i czas już wracać w Soupillonu mury“, deklamuje Armand Fallières, pakując manatki. Układa w walizy podarki monarchów, ociera rękawem koszuli spocone czoło i pyta małżonki, która zbiera się skrzętnie drobne sprzęty: — „Możeby tak darować muzeum te królewskie podarki?“ — „Pakuj, Armandzie, nie lubię głupich żartów“.

I Armand opuszcza Elizeum...

Wielki Nemrod, nie chciał Fallières opuścić władzy, nie dawszy szeregu polowań, ale że ostatnio przyjmował tylko przyjaciół, więc zabito zaledwie 100 cietrzewi i trochę królików. Ceremoniał bowiem każe, aby „tableau“ wskazywało 500 cietrzewi, gdy poluje dyplomacya, 450—gdy prezydent przyjmuje Izbę Obrachunkową, 350 dla senatu i deputowanych, 100 cietrzewi i królików dla reszty zaproszonych.

Mówią, że przed odjazdem Fallières zawarł kilka zyskownych kontraktów na dostawę wina z Soupillon i za kilka dni, jak jego kolega, Loubet, pójdzie w poczesne zapomnienie; Loubet'owi zapomniano nawet przysłać zaproszenia na obecny kongres.

Tymczasem w Paryżu wre. Walka przedwyborcza wybuchła nagle, na jakieś dziesięć dni przed wyborami. Kandydaci, ich przyjaciele, owi „klienci“ możnych patrycyuszów Rzeczypospolitej, pracują, używając wszelkich sposobów. Pani Dechanel, żona prezesa Izby deputowanych, oddaje na dzień po czterdzieści wizyt, rozsiewa plotki o żonie p. Poincaré, aby tylko zagrozić mężowi jej drogę do Elizeum. Ze wszystkich kandydatów p. Dechanel od kolebki był przeznaczony na prezydenta Rzeczypospolitej. Jest elegancki, przystojny, wszystkie paryżanki głosowałyby na niego, jest synem znanego literata, wcześniej nader wszedł do Izby, został jej presem, napisał dwie książki: „Figures littéraires“ i „Figures de femmes“, wygłosił sporo mów, w których wszystko jest obmyślane i doskona-

le skomponowane, i został członkiem Akademii Francuskiej. Prezyduje obradom wytwornie i z gracyą, ma żonę przystojną i umiejącą intrygować. Przed kilku dniami, w czasie swych wizyt u żon senatorów i deputowanych, zjawia się pani Dechanel u małżonki jednego z biedniejszych deputowanych. Spotyka ją na schodach, niosącą wiktuały na obiad. Przywitania, uściski. — „Co pani niesie, zająca, prawda?“ — „O! nie, nie przysyła nam nikt zająć — to tylko królik“. A pani Dechanel z uśmiechem: — „A takie wspaniałe zające są w Rambouillet“...

Poincaré, prezes gabinetu — drugi wielki faworyt, jest znakomitym adwokatem, członkiem Akademii, i okazał się istotnym mężem

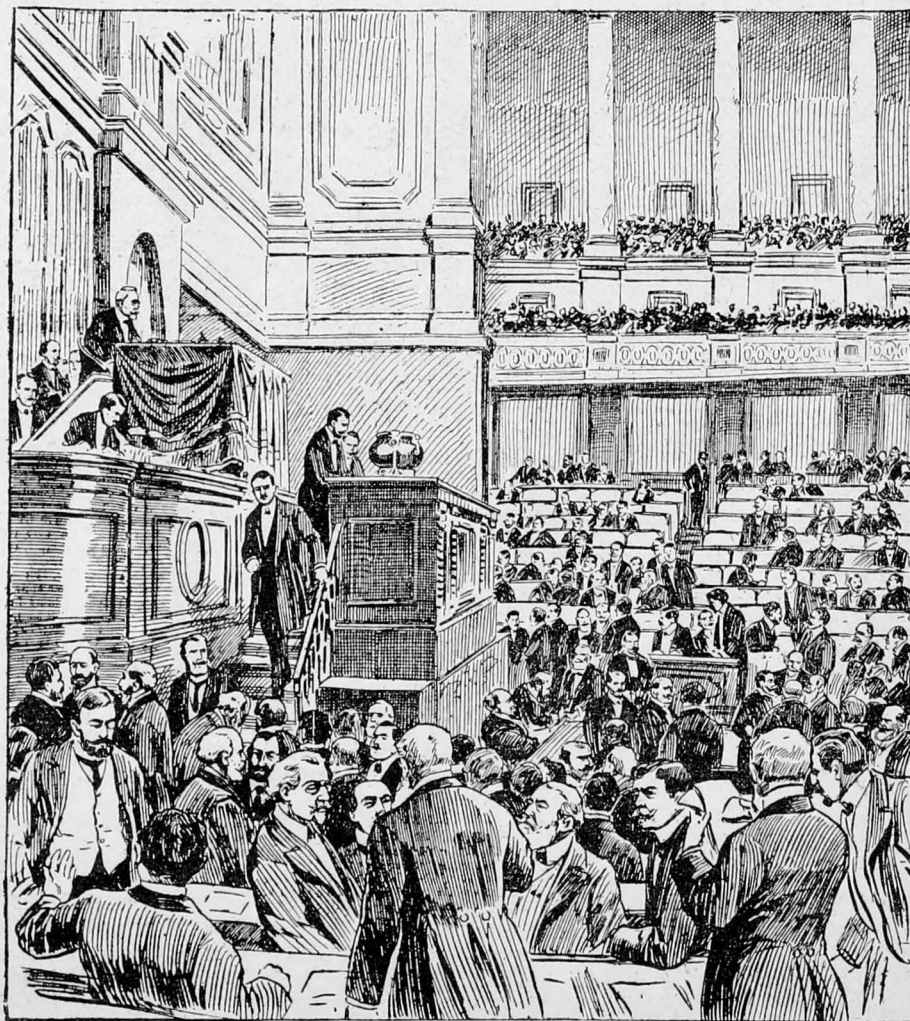
stanu. Aliści we Francji nie lubią tych, co zbyt silnie władzę dzierżą i za długo chcą rządzić. Więc przeciwstawiono mu trzeciego konkurenta: Pams'a, ministra rolnictwa, człowieka gładkiego, dobrze wychowanego, bardzo bogatego przytem. Pams jest szczęśliwym małżonkiem córki właściciela firmy Job, która wyrabia najwięcej mającej popytu papierki do papierosów.

Ponieważ, jak w paddock'u, oprowadzam kandydatów na wielką nagrodę 1.200.000 franków rocznie, przedstawiam wam jeszcze Ribot'a, członka Akademii Francuskiej, starego i wpływowego parlamentarza, autora dwóch tomów „Mów politycznych“. Za tymi matadorami zdążają mniej uprzywilejowani: Stefan Pichon, były minister spraw zagranicznych, Jan Dupuy, milionowy właściciel „Petit Parisien“, Delcassé, minister marynarki.

I wszyscy gonią za tym prezydencyjalnym fotelom, który prowadzi nawet... do kanonikatu. Istotnie, Armand Fallières, jako naczelnik rządu, figuruje na witrażu katedry w Mans, w kostymie kanonika honorowego...

Czwartek wieczorem.

Akcya przedwyborcza wre. W tej chwili w Senacie odbywa się zebranie grup republikańskich połączonych lewic. Senatorowie i deputowani biegają, ożywienie panuje niezwykle w Pałacu Luksembur-



Wnętrze sali pałacu wersalskiego podczas wyboru prezydenta.

skim, owym Hotelu Inwalidów parlamentarnych, gdzie zwykle leniwie wloką schorzone nogi starzy senatorowie. Panie kandydatki agituja na mieście. Coraz nowe plotki dochodzą nas: ktoś opowiada, jak pani Loubet, przyjmując raz na obiedzie Edwarda VII, w czasie, kiedy był on jeszcze księciem, po obiedzie, przy czarnej kawie, spytała uprzejmie, mówiąc poprzednio o jakichś egzaminach swego syna: — „A ze swego najstarszego syna—co Wasza Wysokość zamierza uczynić?” — Książę Walii uśmiechnął się nieco i odparł: — „Dobrze rozważywszy, sądzę, że zrobię z niego króla Anglii”.

Nowy Warwick, p. Clemenceau, agituje, ożywia grupy, chodzi od jednych do drugich. Z początku kandydatem „Tygrysa“, jak go nazywają koledzy, był Antoni Dubost, prezes Senatu, ale go Clemenceau opuścił, utrzymując, że jest za głupim nawet na prezydenta Rzeczypospolitej. W korytarzach intrygi idą w najlepsze. Clemenceau, wieczny gawrosz, chwytła senatora Lintillac'a i stara go się przeciągnąć na stronę Pams'a. — „Ależ on nigdy mnie o to nie prosił“, broni się Lintillac (wiceprezes Senatu). — „Bah!—odpowiada Clemenceau—może nie wiem, że jesteś pan senatorem“. — Mówią o kandydaturze poza parlamentarne: ktoś agituje za p. Forichon, pierwszym prezydentem Trybunału, który miał powiedzieć, że tego rodzaju honor ofiarowuje się, ale się o niego nie prosi. Clemenceau wynajduje nowego kandydata. Były minister Monis pyta się go, o kim myśli. — „O Cognac'u (właściciel magazynów „à la Samaritaine“) i dodaje: „Znasz pan obraz „dobry Samarytanin w Elizeum“.

Ustąpienie Milleranda, ministra wojny, z powodu nominacji do kadrow rezerwy osławionego w sprawie Dreyfusa, p. Paty du Clam, — uważano za manewr, mający na celu uzyskanie głosów prawicy dla... niewiadomego kandydata.



Paty du Clam.

Ostatecznie, stanęli w szrankach pp. Dubost, Poincaré, Dechanel, Pams; — po kilku głosowaniach Pams otrzymał większość kilku głosów. Dechanel zrzekł się pod naciskiem kolegów swej kandydatury, nie określając, na kogo przenosi swe głosy. Wkońcu głosy rozdzieliły się pomiędzy Poincaré i Pams'a. Wówczas Clemenceau, na czele delegacji, złożonej przeważnie z byłych prezesów gabinetów, udał się do Poincaré, prosząc go o oddanie swych głosów na korzyść Pams'a. Ale

prezes gabinetu grzecznie, lecz stanowczo odmówił. Wobec tej alternatywy Pams podał się do dymisji ze stanowiska ministra rolnictwa. Do późnej nocy ruch trwał na bulwarach, gdzie komentowano doniesienia ostatniej doby. Wieczorem, wobec rozstrzelenia głosów, próbowano znaleźć kandydata koalicji. Dubost wszystkim proponował... siebie, dziwiąc się, że nie głosowano nań. Uważał nawet, że wybór Poincaré'go będzie niebezpiecznym dla Rzeczypospolitej. Clemenceau dał to zresztą do zrozumienia prezesowi gabinetu, utrzymując, że jeśli wybór jego nastąpi, to jedynie dzięki głosom prawicy. Ktoś zaproponował p. Delcassé, ministra marynarki. „Tygrys“ cisnął się wściekle i krzyknął: — „Po co, dla czego?“ — „Ponieważ Delcassé, któ-



Raymond Poincaré, nowy prezydent Rzeczypospolitej Francuskiej.

ry... którego zalety nie mają odpowiedniego stanowiska...“ — „Jako, odpowiada Clemenceau, oddawna przygotowuję dla niego stanowisko, godne jego zalet...“ — „Gdzie, jakie?“ — zapytuje uradowany przyjaciel ministra marynarki. — „W mem... sercu“—odpowiada „Tygrys“, odwracając się plecami.

Piątek, 17 stycznia, 1913.

Nad królewskim parkiem Wersalu dzień wstał szary, ale pogodny. W zanku przygotowania skończono. Sale, wspaniale przybrane w odświeżone szaty, przepyszne gobeliny zdobią ściany sali Kongresu, oraz gabinetów: prezesa ministrów i prezesa Senatu.

Pałac króla Słońca przyjmie za chwilę reprezentantów narodu na wybór następcy twórcy Wersalu. W parku, ogrodzonym żołnierzami, cisza i spokój. Apollo odwrócił się tyłem do sal Kongresu, a trytony pluja fontanny wodnego pyłu z niewysłowioną pogardą.

Około jedenastej zajeżdża przed pałac Antonin Dubost, który z urzędu przewodniczy obradom. Tymczasem w samochodach, koleją zjeżdżają się członkowie Izby i Senatu. Trybuna dyplomatyczna zapelni się wkrótce także. W restauracjach i hotelach ścisk i natłok nadzwyczajny. Ministrowie: Clemenceau,

Pams, Dupuy śniadają w hotelu des Reservoirs, zaś panna Cecile Sorel raczy zaproszonych w Trianon Palace. Wreszcie o pierwszej Dubost otwiera posiedzenie. Sala natłoczona. W trybunach barwią się wyszukane tualety dam, na dole zaś wszystkie znakomitości polityczne są zgrupowane na swych miejscach. Margrabia de Dion przerywa Dubostowi jego pierwsze słowa okrzykiem plebistycznym: „Naród cały powinien wybierać prezydenta!“ Poczem rozpoczynając od litery *b*, zaczyna się pochód parlamentarny ku urnie. Nazwisko p. Poincaré przyjmuje sala oklaskami. W korytarzach mówią o pojedynku pomiędzy Clemenceau i Poincaré. Istotnie, Clemenceau napisał list bardzo ostry; Briand i Klotz załatwili jednak natychmiast sprawę polubownie.

Wreszcie ogłaszają wynik pierwszego głosowania: Poincaré 429 głosów, Pams 327 głosów, Dechanel 18 głosów, Dubost 2. Jakiś żartowniś dał głos swój Rochefort'owi. Trzeba głosować po raz drugi. Zdenierowanie ogarnia salę, przenosi się na korytarze, ożywienie dochodzi do kłótni. Tymczasem wieczór nadchodzi. Przed pałacem widzimy z okien czarny ruchliwy tłum, rozdzielony pustą przestrzenią, która biegnie od bram aż hen, w dal. To jakby aleja, strzeżona przez wojsko, przez którą przejadą automobile, unoszące nowego prezydenta i orszak oficjalny. Wreszcie Dubost ogłasza ostateczny rezultat: w drugim głosowaniu Poincaré otrzymuje 483 głosy, Pams 296, Vaillant (kandydat socjalistów) 69 głosów, różni 23 głosy.

Raymond Poincaré został na lat siedem obrany prezydentem Rzeczypospolitej. Szalona owacya przyjmuje ten wybór. Antonin Dubost wygłasza powitalną mowę, poczem w imieniu ministerium przemawia Briand, na końcu, wedle tradycji, wygłasza mowę w imieniu pracy parlamentarnej Jerzy Aubry, jej prezes. I wszystko. Powozy udają się na stację, wśród owacyi niesłuchanej, która powtarza się na stacji w Paryżu, przed Elizeum, gdzie p. Poincaré oddał wizytę p. Fallières.

Wychodzę z pałacu wersalskiego. Niebo roziskrzyło się gwiazdami. Światła lśnią jeszcze w oknach siedziby króla Słońca, a oczy moje biegają mimowoli ku małemu narożnemu oknu w lewym pawilonie. Tam niegdys, za dni wspaniałych Ludwika XIV, późno w noc jarzyło się światło. Po dniach przyjeź Saint Simon spisywał tam kronikę codziennych zajęć króla i dworu, i, myślę, jakimi, pełnemi ironicznej finezyi słowami, opisałby ten genialny kronikarz elekcyę p. Poincaré na naczelnika Francyi.

K. Daniłowicz-Strzelbicki.

Wersal-Paryż.



Obraz nędzy wsi rosyjskiej. Słomiane pokrycie dachu służy, jako pożywienie dla koni.

Z nadnewskiej stolicy.

Kartki ulotne.

...Wśród tłumu przyjaciół, uczniów i kolegów zmarłego, z grona profesorów akademii sztuk pięknych, szła szczupła garstka nasza za trumną Jana Ciaglińskiego. Pochód pogrzebowy przystanął przed gmachem akademii, której uczniowie zdjęli tu trumnę z katafalku i ponieśli daleko, aż na cmentarz luterski, gdzie ktośbliki zapragnął, by spoczęły zwłoki. Pod mglistym niebem, w ciszy dnia świątecznego, wśród otoczenia bezbarwnego złożono je do grobu. Żaden promień słońca nie padł na ten orszak pogrzebowy, na kołyszającą się na ramionach młodzieńczych trumnę. Grały może za to te promienie, choćby na chwilę jedną, w duszach szarych, wśród których Ciagliński był, jak meteor płonący we własnym blasku. Chciał wszczepić swoje umiłowanie barw i promieni w młodzież malarską i sterał na tem życie. Szukając barw i blasków, wędrował do Ziemi Świętej, do Hiszpanii, Afryki i Hindostanu. Gorączkowo szkicował tam swe wrażenia, wiozł na północ setki tych szkiców, wystawiał je, gdziekolwiek można było, i głosił wobec widzów hymny natchnione na cześć słońca, światła, promieni i tęczy. Nie miał czasu na nic innego, wyczerpywał na szkice i pomysły całą swą twórczość. Ale nigdy nie opuszczał go zapal, nigdy nie dawał wygasać płonącemu w jego sercu zniczowi i hojnie dzielił się płomieniem z innymi, byle choć troszkę zapragnęli. Nie stworzył żadnego wykończonego obrazu, w portretach szukał przedewszystkiem wrażeń kolorystycznych i gry światłocienia. W innym środowisku urósłby może na olbrzyma. Tu, pomimo najnieprzyjaźniejszych okoliczności, zdołał tylko wybić się z tłumu, a przedewszystkiem pozostać samodzielnym, chodzić własnymi drogami. I jeżeli wiodły na manowce, wina tu nie jego, ale krainy, która w ogólności nie zna torów, przez kulturę wytkniętych, ani jej odwiecznych drogowskazów...

...Panie rosyjskie są jeszcze gadatliwsze od panów i jeszcze teoretyczniejsze. Jeżeli na to trzeba dowodów — dostarcza je w obfitości pierwszy zjazd kobiet w sprawie wykształcenia młodzieży. Zapewne dlatego, że pierwszy, chcieliby zapewniać obrońcy wielomówności, ale zapewniania tak uroczyście i długo, że wszelka cierpliwość musi się wyczerpać, oprócz osławionej na lądzie i morzu cierpliwości rosyjskiej. Czegoż bo nie poruszano na zjeździe? Wszystkie, zdaje się, zagadnienia, bodaj w najdalszym z

wykształceniem kobiet związku pozostające, oraz niezliczone inne znalazły odbicie w wymownych referatach, płynących z owych najlepszych chęci, któremi brukują się, jak wiadomo, czeluście piekielne. Są przytem panie, posiadające głos tak donośny, że mógłby im pozazdrościć sam hr. Wł. Bobryński i zapożyczyć patosu dla jeszcze żałośniejszych zawodzeń nad losami „ciemżonych w Galicyi rosyjan”. Z tem wszystkim rozprawy zjazdu niewieściego, pominąwszy hodowlę gruszek na wierzbach, ujawniły szereg faktów pouczających. Zauważono oto, że słuchaczki kursów wyższych nie są właściwie przygotowane do pracy naukowej, ponieważ zakłady średnie dla dziewcząt przygotowania tego nie dają, że niższe szkoły rolnicze, obecnie istniejące, nie mają żadnej wartości, że działalność pedagogiczna kobiet daje wyniki ujemne, ponieważ znowu brak zupełny należytych szkół pedagogicznych. Wspomniano o kurach, których hodowacze nie umieją włóścianki, o pewnej kolonii wzorowej, w której kilkanaścioro dzieci ludu uczy się z dobrym skutkiem gospodarki rolnej, i która, rozumie się, korzysta z zanomogi rządowej. Dalej wzywano rząd, by kształcił agronomki, dbał o estetykę w szkołach, zakładał szkoły dla płci obojga, mówiono o aktorkach, zmuszonych zbacać z prostej drogi dla szukania strojów, o nowych metodach nauki czytania, o psychologii niewieściej w XX w., o przyszłym równouprawnieniu płci, gdy z nich ta piękna będzie czyniła wszystko, co czyni brzydka, ale bez poziomej ambicyi, samolubstwa i karyerowiczostwa. Coprawda, trudno pogodzić jedno z drugim, zwłaszcza, jeżeli dzisiejsza logika kobieca, taka cenna właśnie dlatego, że nie racjonalistyczna, ulegnie razem z psychologią upragnionemu przez zwolenniczki równouprawnienia... umęczycielni...

...Dużo wody upłynęło od czasów Batu-hana. Nie poznałby swoich następców, gdyby mógł spojrzeć dziś na przybyłe do Petersburga poselstwo mongolskie. Tacy dziwni, tacy obcy światu współczesnemu ludzie. Wyjrzeni nań ze swoich stepów, by zapewne przekonać się wkońcu, że jest inny, aniżeli sobie wyobrażali, ale także by drogo zapłacić za naukę. Zapomnieli byli już o wszystkim, o własnej nawet przeszłości, a grób Dżengis-hana, z osłaniającym go namiotem, uważali za miejsce spoczynku jakiegoś półbożka buddyjskiego. Władzę nad nimi doczesną sprawowali ich książęta pod dozorem urzędników chińskich, nad duszami zaś, jak Dalaj-lama

w Tybecie, panował z Urgi wcieleniec (hutuktu) ucznia Buddy Daranaty (po mongolsku Czebzdun-damby), zwykle młodzieniec (święci tego rodzaju żyją krótko), pod dozorem rady starszych lamów, którzy mu zresztą żyć pozwalali przyjemnie i dostarczali wszelakich, według swych pojęć, rozrywek. Ciągnęło się to paręset lat i ciągnęłoby się może dłużej, gdyby nie szła przez Mongolię droga z Rosyi do Pekinu. Podobno dobre drogi łączą ludy i kraje. Ta zaś była i jest z najgorszych, ale rolę swoją w szczególny sposób spełniła. Zresztą niema złej drogi do nieboga, nieboga zaś w polityce jest wszystko, czego skutecznie ustrzedz nie można. Stało się przeto, że, gdy Chiny zmieniły swój ustrój państwowy i usunęły dynastję w cichej ustronie Żeche, otoczenie hutukty umyśliło uczynić zeń księcia udzielnego i ogłosić niezależność Mongolii. Udano się po radę i opiekę potężnej Rosyi, o której zdawna już bracia mongolscy, pod jej zostający panowaniem (buriaci zabajkalscy), pielgrzymując do Urgi i Lhasy, opowiadali cuda. Dyplomacya rosyjska znalazła się w trudnym położeniu, istnieją bowiem traktaty z Chinami (coprawda, z usuniętą dziś dynastją), które tak rach... ciach... uznawać całkiem samodzielną Mongolii nie pozwalają. Ale znowu trudno wyrzec się oczywistej korzyści. Wynaleziono tedy coś pośredniego, pozwalającego domyślać się, że gdzieś tam, w obłokach, zwierzchnictwo chińskie nad krajem istnieć nie przestało, w rzeczywistości zaś Mongolia staje się czemś, co Jellinek nazywa ułamkiem państwa, pod najbliższą opieką rosyjską. Tego ułamka posłowie zjechali oto nad Nowę, potrosze—by dowiedzieć się czegoś poważniejszego, potrosze—by poskarżyć się na kozaków, którzy po swojemu rozprawić się już zdołali z jakimś oddziałkiem „armii” mongolskiej, na niejakiego Haj-sana, który, stojąc najbliżej komisarza rosyjskiego i grając rolę najwybitniejszą, zdołał już dopuścić się takiego wyczynu i tylu nadużyć, że „rząd” mongolski musiał stawić go przed sądem, — wreszcie na drożynę, która z wypędzeniem chińczyków zapanowała w kraju, i na nowe podatki... Zaczęło już coś świtać w okrągłych głowach potomków Dżengischanowych najezdników. Jeżeli los im pozwoli przejechać się po Europie, zobaczą i posłyszają tyle rzeczy, że, gdy powrócą do domu, nie poznają ich może ci nawet, którzy ich w daleką podróż wysłali... Bh. K.

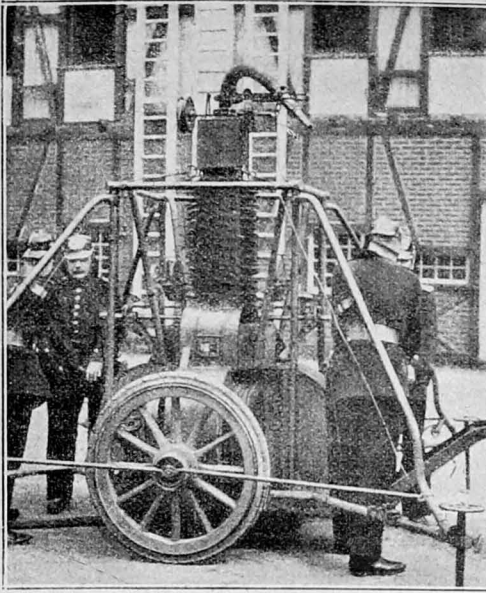
Z konkursu dramatycznego we Lwowie na sztukę, związaną z rocznicą półwiekową.



Stefan Komornicki, autor sztuki „Za Wisłą”. Nagroda I-ssa.



Marya Raczyńska, autorka sztuki „Cienie”. Nagr. II.



Maszty Fontany można podnieść na wysokość 25 metrów.

W walce z pożarem.

Pomiędzy środkami, jakie posiadał człowiek jeszcze przed kilkunastu laty do walki z pożarem, a środkami, jakimi rozporządza dzisiaj, istnieje olbrzymia różnica. Ale zmieniły się też i warunki, w jakich tę walkę prowadzić trzeba. Nowożytnie miasto, z olbrzymimi, wielopiętrowymi budynkami, z przewodnikami prądu elektrycznego o wysokim napięciu, z przewodami gazowymi, rozrzuconymi wszędzie, na każdym miejscu, jest zupełnie innym terenem, aniżeli było przed laty, lub aniżeli jest jeszcze dzisiaj rozrzucona na wielkiej przestrzeni wieś o parterowych przeważnie domkach. Zmieniły się warunki walki, zmieniły się musiał i środki.

W ostatnich zwłaszcza trzech-czterech latach zastosowano bardzo wiele nowych wynalazków z dziedziny pożarnictwa, zyskując w nich potężną broń w walce z niszczącym żywiołem. Przewszystkiem prawie we wszystkich większych miastach samochód zastąpił pociągową siłę koni; wszak od szybkiego przybycia straży zależy prawie zawsze ratunek życia i mienia ludzi. Rychło zaniechano prób z samochodem benzynowym, — kapryśnym wskutek skomplikowanego mechanizmu — a natomiast wprowadzono elektromotory, zawsze gotowe do użycia i zapewniające zupełną sprawność działania. Stoją one w strażnicy z naładowanymi akumulatorami, — wystarcza dotknięcie, aby je puścić w ruch; zapas energii jest obliczany na pięciokrotne przebycie najdłuższej ewentualnie drogi.

Niezmiernie ważnym jest to, aby straż natychmiast po przybyciu na miejsce miała do rozporządzenia silny prąd wody; wiadomo przecież, że szybkość rozszerzania się pożaru liczy się nieraz już nie na minuty, ale na sekundy. Z pomocą przychodzi tu sikawka gazowa i parowa. Sikawka gazowa, w której zgęszczony silnie kwas węglowy wyrzuca strumień wody aż do wysokości szóstego piętra, jest każdej chwili gotowa do użycia; sikawka parowa przygotowuje w kotle ciśnieniu przez czas drogi na miejsce pożaru. Tę ostatnią poczęła zresztą wypierać w ostatnim roku sikawka, pracująca przy pomocy motoru benzynowego. Elektromotorom straży ogniowej towarzyszy odtąd jeden samochód benzynowy,

skonstruowany w ten sposób, że wystarczy przesunięcie jednej tylko dźwigni, aby przemienić go na motor, poruszający pompy i pędzący wodę na ogromną wysokość.

Lecz oto zdarzyło się, naprzykład, że straż przybyła za późno; całe trzecie piętro olbrzymiego gmachu jest już zupełnie objęte pożarem, a tymczasem na piątym i szóstym piętrze są jeszcze ludzie. Wówczas wprowadza się w ruch tak zwaną drabinę maszynową. Jeszcze niedawno rozsuwano ją ręcznie, co zajmowało zbyt wiele czasu; dzisiaj już pracę rąk ludzkich zastąpił prąd elektryczny, a połączenie drabiny z sikawką gazową daje strażakowi od pierwszej chwili dostateczny zapas wody. Ale użycie drabiny mechanicznej wymaga dość dużo miejsca, a zdarzyć się może, że go brakuje. Wtedy wysuwa się na widownię t. zw. maszt Fontany. Jest to niewielka maszyneryja, którą można wnieść wygodnie przez bramę domu na podwórze. Dwóch ludzi kręci korbą, a z wnętrza przyrządu wysuwa się olbrzymi maszt ze stalowych wstęg, umocniony w pewnych odstępach automatycznie zsuwającymi się pierścieniami stalowymi; wewnątrz masztu kryje się przewód, doprowadzający wodę, wylot rury nastawia się z dołu przy pomocy osobnego koła. Maszt można przedłużać aż do wysokości 25 metrów; zastępuje on wybornie używane w Ameryce w podobnych wypadkach t. zw. „Water-towers” (wodne wieże), zajmujące bardzo dużo miejsca.

Wewnątrz wozu strażackiego każdej nowożytnej straży ogniowej kryje się jakby skrzynia czarodzieja. Bo czegoż tam niema: Ot np. dziwne jakieś płyty kauczukowe i ogromne nożyce. To przybory, służące do zapobieżenia wypadkom z prądem elektrycznym; strażak staje na płycie kauczukowej, izolującej go od ziemi, chwytając nożyce i przecina niemi gruby kabel tramwajowy, jak nitkę. — Obok, w drugiej skrzynce zbiór doskonałych narzędzi do włamania. Niejednokrotnie używa się ich do otwierania zwykłych lub żelaznych drzwi, bo niema czasu szukać kluczy. — Jeszcze dalej aparat do ratowania uduszonych dymem, prócz tego hełm, zabezpieczający od dymu, i kompletny strój, któryby nazwać można strojem



W hełmie na głowie wchodzi strażak w duszący dym.

nurka ogniowego. Hełm służy do krótkotrwałych wypraw; przylega on ściśle do szyi, przytrzymywany małym walcikiem pneumatycznym. Na plecach ma strażak przewieszony aparat, w którym wytwarza się z chemikaliów wciąż nowy tlen; zużyte powietrze wdycha do worka umieszczonego na piersiach.

Do dłuższych wypraw w głąb płonących budynków używa się jakby stroju nurkowego; strażak wdziewa ubranie z niespalającego się materiału, więc z asbestu, na głowę nakłada rodzaj hełmu, do którego wpompowuje się powietrze za pomocą długiej rury; z drugiej małutkiej rurki, umieszczonej nad czołem, wytryska strumień wody, którą, niby w żywej fontannie, zlewa się po całym cieple idącego przez płomień. Dzięki temu może dość długo przebywać w samym środku pożaru.

Prawie wszystkie wspomniane wyżej wynalazki z zakresu pożarnictwa są dziełem niewielu lat ostatnich. Mimo to, znalazły już nader szerokie zastosowanie, ułatwiając człowiekowi w wielkich miastach walkę ze strasznym żywiołem. St. S.



Komitet zapoczątkowanego w Meranie „Domu Polskiego” dla niezamożnej uczącej się młodzieży polskiej, potrzebującej leczenia. Stoją: dr. B. Kwiatkowski, wice-prezes, dr. R. Brüder. Siedzą: d-rowsa Żulińska, sekretarka, dr. Żuliński, prezes, E. Sturm, skarbnik, H. Sturmowa.

Polski „Dom zdrowia” w Meranie.

Wszyscy wiedzą, jak wielkim nie- szczęściem jest choroba płuc w młodym wieku i jak zbawczymi dla niej są warunki klimatyczne, częstokroć, niestety, niezdołbyte dla ubogiej młodzieży. Lo- sem takiej nieszczęśliwej uczącej się młodzieży, nie posiadającej funduszy na leczenie klimatyczne, młodzieży, której ocalenie jest częstokroć utrzymaniem gruntownej cegły w gmachu społecznym, zajęło się obecnie gro- no szlachetniejszych polaków, mieszkających w Meranie, posiadającym, jak wiadomo, najlepsze warunki klima- tyczne dla tego rodzaju chorób. Za- wiązał się tego roku komitet, na które- go czele stoją: d-rostwo Żulińscy, pań- stwo Sturmowie i inni, prawdziwie głą- boko odczuwający ważność zadania. Ce- lem komitetu jest założenie „Domu Zdrowia” dla biednej młodzieży polskiej, która by za mniejszą opłatą znalazła po- mieszczenie i opiekę w Meranie. Komi- tet nie próżnuje — i zanosi odezwę do ogółu polskiego, prosząc o poparcie i pomoc w tych szlachetnych zabiegach. Wszelkich objaśnień co do świeżej in- stytucji udziela dr. Żuliński, Meran, Habsburgerstrasse, 30.



Obchód jubileuszu Stan. Rotwanda
w sali Muzeum Przem. i Rolnictwa.

Fot. Maryana Fuksa.

50 lat pracy społecznej.

W zeszłym tygodniu obchodzono uroczystości w kilku naszych instytucjach społecznych 50-letnią działalność obywatelską Stanisława Rotwanda.

Syn lekarza, Mateusza, wychowawca Jędrzeja Sniadeckiego, urodził się Stanisław Rotwand w Łęczycy, a liczy obecnie 74 rok życia. Skończywszy gimnazjum w Warszawie, a następnie wydział prawny na uniwersytecie w Petersburgu, powrócił do kraju, i tu, obok praktyki adwokackiej, zaczął już od roku 1860 rozwijać swą czynność w kierunku rozszerzania szkolnictwa i oświaty. Po zamknięciu, podczas wypadków z przed laty 50, bezpłatnych szkół wieczornych przy warszawskim Tow. Dobroczynności, nie zwątpił w dobrą sprawę, lecz, stanąwszy w szeregach ludzi, mających na celu rozwój w kierunku pracy organicznej, był odtąd albo założycielem i kierownikiem, albo współpracownikiem przeważnej części instytucji społecznych, kulturalnych i oświatowych w naszym kraju. Założona w r. 1894, na spółkę ze szwagrem jubilata, Hipolitem Wawelbergiem, szkoła mechaniczno-techniczna, stała się w krótkim czasie jednym z najbardziej zasłużonych w kraju zakładów naukowych.

Wymienić dalej należy: wybudowanie zakładów dobroczynnych im. Maryi Rotwandowej, olbrzymie gmachy, przeznaczone na tanię mieszkanie dla robotników, gmachy szkół handlowych kupiectwa warszawskiego, powstałe z jego inicjatywy i pod jego przewodnictwem, przeprowadzenie za jego przeważnie staraniem podatku handlowego, będącego materialną podstawą szkół kupieckich, i w. in. Dowodem niestrudzonej i wszechstronnej działalności jubilata są urzędy, jakie piastuje, a więc: prezesa Komitetu giełdowego, starszego zgromadzenia kupców m. Warszawy, prezesa Rad opiekuńczych szkół handlowych, członka Zarządu kolonii letnich osad rolnych, Tow. Przemysłowców, Tow. Kred. m. Warszawy, Tow. pracy społecznej i t. d. Oprócz tego jest jubilat od r. 1906 posłem do Rady Państwa z kurii handlu i przemysłu.

Jubileusz zasłużonego filantropa obchodzono w dn. 19 w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, gdzie, celem uczczenia jego owocnej działalności, zgromadziło się kilkaset osób, reprezentujących wszystkie sfery społeczne. Tego samego dnia obchodzono jubileusz uroczystym zebraniem, urządzonym w gmachu szkół handlowych zgromadzenia kup-

ców, a w dniu następnym w gmachu szkoły mech.-techn. im. Wawelberga i Rotwanda.

Z okazji tej uroczystości wręczono jubilatowi zebrany fundusz w sumie 16.000 rb. na cele kulturalno-oświatowe,



Stanisław Rotwand.

który jubilat powiększył własną ofiarą do 100.000 rb. Cel funduszu zostanie specjalnie obmyślony i opracowany.

Z życia Warszawy.

Najstarsza kolejka podmiejska.

Suchy, mroźny dzień. Jest coś orzeźwiającego w powietrzu, coś, co budzi tęsknotę do dalekich przestrzeni. Na niebie trochę chmur, ale wiatr je rozgania, raz po raz wyblyskuje słońce, i złota fala światła przewija się po ziemi. Sucho, a nie za zimno, pogoda w sam raz jakby stworzona do podmiejskiego spaceru. Więc czyż można oprzeć się pokusie? Trzeba raz zrobić święto oczom, zmęczonym od ciągłego potyknięcia się o ciasne, miejskie mury. Niech użyją na wolnej przestrzeni!

Program odrazu zarysowuje się w głowie. Na parę godzin do Wilanowa!... Warszawie zbywa na ładnych okolicach podmiejskich, nadających się do parogodzinnych czy jednodniowych wycieczek, ale te, co są, prześliczne. Ot, choćby taki park Wilanowski... Jeśli dolać trochę sen-

tymentu do wrażeń, w kącie niech się schowają najpiękniejsze wersalskie ogrody.

I przytem komunikacja taka łatwa. Dorożką do Mokotowa, a potem kolejką Wilanowską, która jest najstarszą z naszych kolejek podmiejskich. Czyli—że od wyjścia z domu jest się już w atmosferze historycznej. Bo zważmy tylko: pierwszy etap — wehikuł, dźwigający na sobie brzemień ciężko przeżytych lat, potem najdawniejsza kolejka podmiejska i wreszcie miejscowość historyczna. Człowiek, obdarzony choćby odrobiną fantazyi, łatwo wyobrazić sobie może jakąś winę w czasie, która go zwozi z jego stulecia o parę piętér niżej...

A więc w drogę.

— Dorożka — wolny?

— Wolny — odpowiada dorożkarz, puszczając mi w same oczy kłęb tytoniowego dymu.

Dorożki warszawskie mają tę własność, że poruszają się równocześnie w dwu kierunkach. Przed siebie, co jest kierunkiem przewidzianym, i w bok, objając się o szyny tramwajowe i najrozmaitsze mniej lub więcej głębokie wyboje bruku. O ile jazda po linii prostej jest powolna, zważywszy, że i na konia przychodzą lata, o tyle te dygresje boczne są gwałtowne i nieprzewidywane. W zimowe dni ma to jednak swoją dobrą stronę, gdyż pobudza krew do żywszej cyrkulacji i ogrzewa.

Ale w jeździe chodzi o to, aby dojechać. I pomimo wszystko, coby się teoretycznie zdawać mogło, moment ten nadchodzi. Dorożka zatrzymuje się przed dworcem kolejki Wilanowskiej. Dworzec ten nie należy do budynków monumentalnych, które by upiększały nasze miasto. Ale, mój Boże, czyż dworzec po to stoi, aby mu się przyglądać? Zbyt estetyczny, wygodnie urządzone, starannie ogrzany dworzec ma nawet tę złą stronę, że rozleniwia podróżnika, odejmuje mu chęć do podróży. Myśli: — Po co mam szukać wiatru w polu, kiedy tu tak miło, ciepło, zacisznie?... Posiedzę i wrócę tramwajem do domu. Ale kiedy wiatr z

poła sam po niego przychodzi, kiedy się w poczekalni kostnieje, wówczas myśl o szybkiej jeździe, o rytmicznym turkocie kół, o pejzażach, z błyskawiczną szybkością przesu- wających się przed oczami, jest dawką narkozy, która ekscytuje duszę.

Ale narazie pociągu niema.

Mija kwadrans, pół godziny, pociągu niema.

—Dlaczego pociągu niema? — zwracam się z uprzejmym uśmiechem do „urzędnika“.

— Bo się spóźnił — słyszę o- pryskliwą odpowiedź od człowieka, noszącego z godnością swój stary mundur najstarszej podjazdowej kolejki. Mała rzecz a wstyd. Bo kto słyszał zadawać takie głupie pytania? Jeśli pociągu niema, no, to rzecz prosta, że się nie rozplątał, nie po- frunął w powietrze, tylko musiał się spóźnić. Mój brak logiki musiał w kolejowcu wzbudzić obrzydzenie, bo, gdy mnie drugi raz mijają, choć go już o nic nie pytam i pokornie usuwam mu się z drogi, patrzy na mnie z wy- raźnym wstrętem.

I, jakby na tem większe upoko- rzenie moje, pociąg zajeżdża. Nie widać go jeszcze, ale już słyhać. Łagodny podmuch wiatru przynosi pierwszą falę dymu. Wszyscy za- czynają kaszlać. Jakiś wysoki, bar- czysty mężczyzna, prowokujący nas widocznie swoimi zdrowymi płuca- mi, poprzestaje na kichnięciu i otarciu łez. Trudno, gdyby dym lokomoty- wy posiadał własności tak łagodne, jak dym papierosa, wciąż widywali- byśmy amatorów, którzy przykładają usta do komina, zaciągali- by się nim z rozkoszą. I kolejka Wilanow- ska nie chodziłaby wcale.

A tak—chodzi. Chodzi—bo oto od kwadransa siedzę w ciasnym, brudnym pudle, które niebosiężnej fantazyi ludzkiej podobało się nazwać wagonem, dlatego prawdopo- dobnie, że pudło owo ma ileś tam zgrzytliwych kół u dołu i równe prostokątne otwory w bocznych ścianach. Pociąg mknie (tak już jest przyjęte w literaturze mówić o pociągu) brzegiem Glinianek, owych niewielkich jezior o łagodnej, mętnej powierzchni, które tak mile i swojsko ożywiają płaski nasz pejzaż podwarszawski. Zimno zaczyna być w polu, ale okna trzymamy ot- warte, bo inaczej dym by nas zadu- sił. Powie ktoś, kto nigdy nosa po- za swój dom nie wytknął i nieobe- znany jest z podróżami: Zamknąć okna, to nie będzie dymu! Niepra- wda, dym się wciska przez szpary w dachu, w ścianach i w podłodze. Podłoga pokryta jest cieniuteńką, lep- ką warstwą błota. Podziwiać nale- ży, jak zarząd najstarszej naszej kolejki podjazdowej umie każdy dro- bny napozór szczegół celowo wy- zyskać. Bo nogi przyklepiają się do tego błota i to pozwala łatwiej utrzy- mać na ławce równowagę. Pociąg

kolejki wilanowskiej niema w sobie tej zimnej i tak przykryj dla ludzi o romantycznym nieco usposobieniu martwoty i maszynowości zwykłych pociągów. Nie, on żyje! To młode źrebie, wypuszczone ze stajni na wol- ność. Skacze, wierzga, cofa się parę kroków w tył, potem znów radośnie podskakuje naprzód... I gwizdże... Ach, jak on gwizdże!... Takie gwiz- dzenie tylko tu na tych naszych sza- rych polach się słyszy. Można po- tem cały świat ekspresami zagranicz- nymi objeżdżić, a za tym świstem za- waze małemu bębnekowi w uchu bę- dzie tęskno.

Naraz zgrzyt, huk żelaza, wszy- stko leci w tył.

— Katastrofa?

— Nie, stacya.

Każda stacya kolejki Wilanow- skiej ma jakąś swoją specyalność, która ją pamiętnie od wszystkich in- nych wyróżnia. Więc np. nigdzie nie- ma tak malowniczych i wymownych żebraków, jak w Czerniakowie. Fol- klorysta może tu zbierać jędrne wy- rażenia ludowe. Filantrop ma komu cały majątek rozdać. Alkoholik przez czas postoju trzy razy upić się zdoła. Klarysew słynie znów na całą Polskę z wody sodowej. Dlatego wszyscy chcą, żeby w Klarysewie pociąg za- trzymał się jaknajdłużej. I grzech-

na służba kolejowa chętnie czyni za- dość temu żądaniu. Ludzie i wago- ny odpoczywają—i można jechać da- lej. A to jest ważna rzecz. Wagon także się rozsypie, gdy za dużo od niego wymagać.

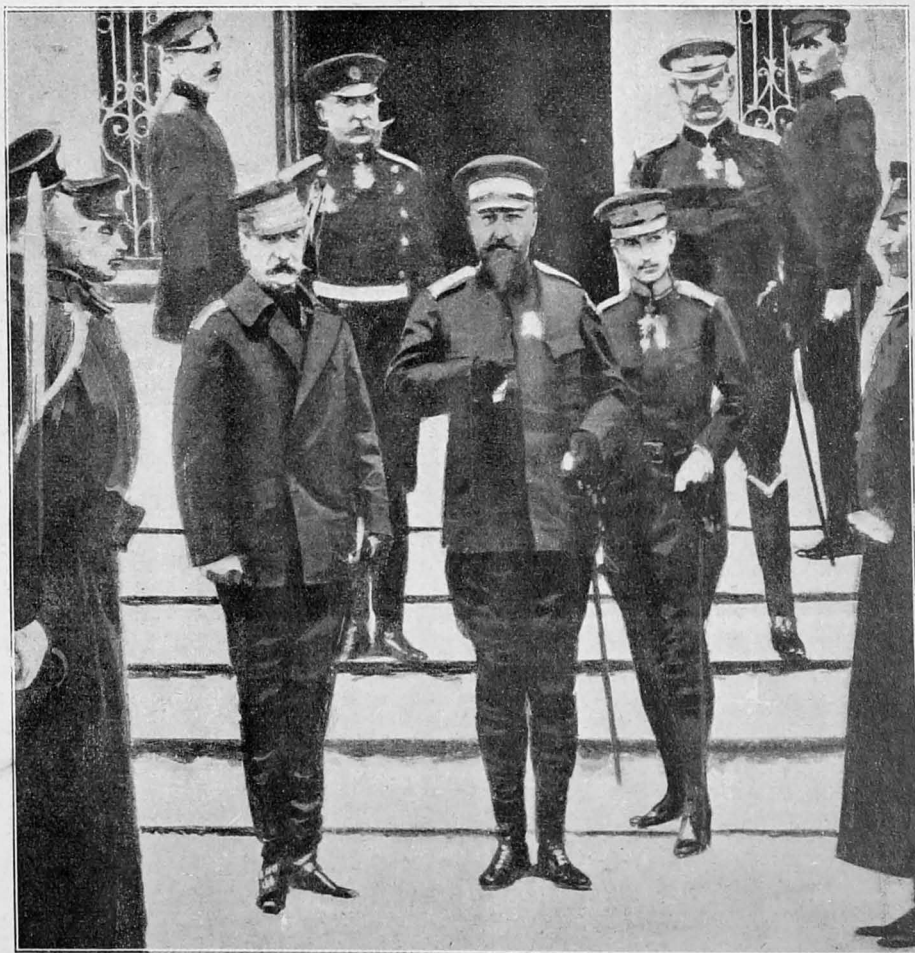
— Jazda, na co pan tam cze- kasz, u dyabła? — krzyczy konduk- tor w stronę lokomotywy.

— Cholera! — odpowiada mu maszynista. Ta inwokacya choroby w konwencyonalnej gwarze kolejow- ej oznacza, jak się domyśleć ła- two — „Ruszamy“.

Ciężki lewar zgrzyta i pociąg znów zaczyna hasać. Ale to jest ży- cie. Gdy pociąg skoczy w górę, pa- sażer skacze jeszcze wyżej, gdy pociąg się pochyli, pasażer się pochy- la. Przez to czuje się zespolonym ze swoim wagonem, żyje z nim ra- zem i to go wiąże do miejsca. Za- miast iść piechotą—jedzie. Na tem podłożu psychologicznem opiera się racya bytu naszej najstarszej kolejki podmiejskiej, chwały Warsza- wy i Wilanowa... Gwizdź że więc sobie, kolejko, na zdrowie i strasz w najdłuższe lata kozy żydowskie po drogach... Będziemy cię cierpliwie znosili, bo w bezduszną martwość ko- munikacyi kolejowych wnosisz nam trochę romantycznej malowniczo- ści.

W. Perzyński.

Zjazd w Salonikach.



Król Jerzy grecki i Ferdynand bułgarski.



BAL ŚWIERKOWY. W ubiegłą sobotę odbył się wielki bal, urządzony przez Warsz. Tow. Łyżwiariskie w ich własnym lokalu w Dolinie Szwajcarskiej. Bal udał się znakomicie.



BAL KURSÓW ROLNICZYCH. Bal, urządzony przez słuchaczy kurs. rolniczych, ściągnął przedstawicieli ziemiaństwa z różnych stron całego kraju i zebrał około 1000 osób. Był to niewątpliwie najświetniejszy bal w obecnym karnawale. (Grupa komitetu organizacyjnego: I-szy rząd, siedzą pp. T. Milewski, Sew. ks. Czetwertyński, dyr. Pomorski i L. Próchnicki; II-gi rząd, stoją: pp. W. Zapolski, A. Skłodowski, B. Grabczewski, W. Andrych, J. J. Włodek i W. Kurnatowski.

Dwie rozmowy o teatrze lwowskim.

II.

Mówi teraz ktoś bliski scenie, choć nie poślubiony jej ani rodzajem literackiej twórczości, ani terenem pracy: jeden z najpoważniejszych polskich „recenzentów“, Kornel Makuszyński. Wielu miłuje teatr równie, jak on — bardziej nikt z pewnością. Właśnie on zadzwonił pierwszy na trwogę, iż pod dachem lwowskiego dramatu źle się dzieje. Zdołał być dlatego dość obiektywny?

Posłuchajcie.

— Chce się pan dowiedzieć, „co będzie z lwowskim teatrem?“ Jestem autorem zropaczzonego tego pytania, odpowiedź moja jest tedy także rozpaczliwa. Otóż źle będzie z lwowskim teatrem, dlatego przede wszystkim, że dobrze być nie może. Nie pomogą niewinne ocukrzone pigułki i osłodzone proszki na poprawę figury karykaturze, która ma trzy głowy, trzy pary rąk i nóg, jeden olbrzymi żołądek, a nie ma duszy.

— Podobno kiedyś była dusza w lwowskim teatrze?

— Była, ale taka podobna do orchidei; wyhodowana sztucznie, subtelnie zabarwiona, drażliwa i, rzecz można, niesamowita. Zwiędła w

mroźnej, złej i wrogiej atmosferze. Najcudowniejszy kwiat zmarł w tem złem mieście, które potrafi sobie kupić sztukę, ale jej nie kocha. Musiał tedy teatr zejść na *przedsiębiorstwo*, kiedy brakło takich, którzy wszystkim na przekór mogli hodować pyszne kwiaty, za przekorę jednak słono trzeba płacić.

— Teatr lwowski jest tedy tylko imprezą?

— I to jest jego fatalność. Stu ojców miasta, wyraźnie stu, wymyśliło taki nonsens; jeśli wielkie miasto stać było na taki wspaniały teatr, nie powinno było nigdy czynić z tego przedsiębiorstwa i wydzierżawiać instytucji, tak czulej, serdecznej i mądrej opieki wymagającej, jak się wydzierżawia restaurację w Pojezuickim ogrodzie. Nikt nie ma prawa wymagać, aby dzierżawca dokładał, jeśli zaś czyni zadość warunkom i zobowiązaniom i wierzy w „komisję artystyczną“ Rady miejskiej — dla miasta wszystko jest w porządku.

— A komisja artystyczna?

— Cóż! Bardzo ładnie się nazywa, siedzi w łoży i ma najlepsze i najszczęstsze chęci; jest to grono ludzi szanownych i czcigodnych, ale patriarchy grecki jest także szanowny i czcigodny, jednak na dramacie z pewnością zna się mało. Dobrym chęciom komisji odpowiadają dobre chęci dyrektora Hellera, któremu nie można odmówić ogromnych ambicji i pragnienia, aby do tytułu urzędowego mógł dodać tytuł bardziej artystycznie brzmiący. Rządy jego jednak są tylko wysiłkiem, wielkim nawet wysiłkiem; energia jego i wytrwałość w pracy mają nawet swoje sławę, ale *nec Hercules contra plures*, nie poradzi jeden przeciwko trzem. Fatalność lwowskiego teatru, jak już panu mówiłem, leży w tem, że

go można wydzierżawić, lecz nieszczęściem jego — grozą, rozpaczą, tragedią jego — nie mam na poczekaniu jeszcze większego wyboru czarnych słów, — jest jego konkubinat. Teatr lwowski jest strasznie małżeństwem: poślubiony dramatycznej muzyce, utrzymuje dwie — exsusez le mot! — metresy, starą operę i młodszą operetkę.

— Nikt więc nie ma spokoju w tym domu?

— Spokoju? Wyrwywają sobie z gardła, co można, a najgorsze, że jedno chce drugie przekrzyknąć. No, i urządzają wyścigi, kto kogo przegoni, kto weźmie rekord? Co ma robić ten nieszczęśliwy dyrektor i nieszczęśliwi aktorzy? Mojem zdaniem, teatr lwowski będzie wiecznie w stanie niezdrowego podniecenia i nie będzie mógł pracować spokojnie, jak długo nie będzie miał ciszy. Miasto musi usunąć nieprawdopodobną tę anormalność i czempredzej, za wszelką cenę, zarządzić rozdział dramatu od opery i operetki. Lwów jest muzykalny i potrafi utrzymać świetnie operę, dramat zaś da sobie radę znakomicie i może być, doprawdy, wspaniałym, mając doskonałe do rozwoju warunki.

— Więc publiczności starczy?

— Rozdzieli się doskonale; marzeniem zaś jest wszystkich przyjać teatr, aby dramatowi ubyla ta publiczność bezduszna i z pokostem tylko kultury, która przychodzi na premiery zapytać znajomych, komu żona uciekła, a kto urządził fałszywe bankructwo. Publiczności tej z teatrem nic nie łączy, nie odczuwa ona jego potrzeby, nie zna jego posłannictwa, widzi oświecony żyrandol na suficie, lecz nie widziała nigdy duszy sceny. Publiczność ta „płaci, więc chce mieć“... Przed tą arogancją nic się w teatrze nie ostało; smętną muzę dramatu schowano do teatralnej rekwizytorni, gdzie czeka świtu i ciszy, i skupienia w amfiteatrze, i tej chwili, kiedy pomiędzy sceną a publicznością nie będzie hałaśliwej muzyki. W teatrze lwowskim, jednym słowem, niema dobrej atmosfery. W świątyni mówi się szeptem, w muzeum stąpa się cicho, a w naszej teatralnej świątyni hałasuje się.

— Któż wypędzi przekupniów ze świątyni?

— Czy ja wiem? Beznadziejne i smutne jest pańskie pytanie; nie sądzę, aby prędko można wyjść z tego błędnego koła. Dobrze jest jednak, że pan tę sprawę porusza; może się ockną wszyscy, bo właściwie wszyscy tę bolączkę, no, i notowało ce, bo dość im było rzucania grochem o ścianę. „Mówię, bom smutny i sam pełen winy“. Omijaliśmy wszyscy tę bolączkę, no i notowało się tylko zniżki i zwyki w napięciu teatralnej atmosfery. „Referowało się“ tylko, jednym słowem.

— Tyle miał pan słów uznania dla lwowskiego teatru...

— I mam ich zawsze wiele; dla

polskiego dramatu miałem ich tyle, że mi nawet p. Balicki z Krakowa, pisząc recenzję o moich „Duszach z papieru“, zwrócił na to uwagę, że zbyt psuję polskich autorów. Nic nie szkodzi, jego za to nie popsuję... Chwalić zaś trzeba teatr lwowski często, bo wysiłkiem i pracą pięknych dokazuje rzeczy, w każdym zaś wypadku ma najszczerze chęci, lecz nie przemoże to chronicznej jego choroby.

— W chorobie tej bardzo się jednak pogorszyło...

— W istocie. Do zmagania się, aby osiągnąć sukces artystyczny, dołączyła się niemal katastrofa materialna; system dzierżawy teatru uczynił z kwestyi tej, w każdym innym wypadku ubocznej, sprawę pierwszorzędą. Nie było dotąd czem wyżywić duszy, teraz niema czem wyżywić ciała. Smutno jest.

— Czy tylko we Lwowie?

— I Kraków posmutniał; teatr krakowski, dramat tylko mający, po-

trafił doprowadzić aż do ostatecznego kroku tak żelaznego człowieka, jakim był Solski, — cóż dopiero u nas!

— Cóż uzdrowi teatr lwowski?

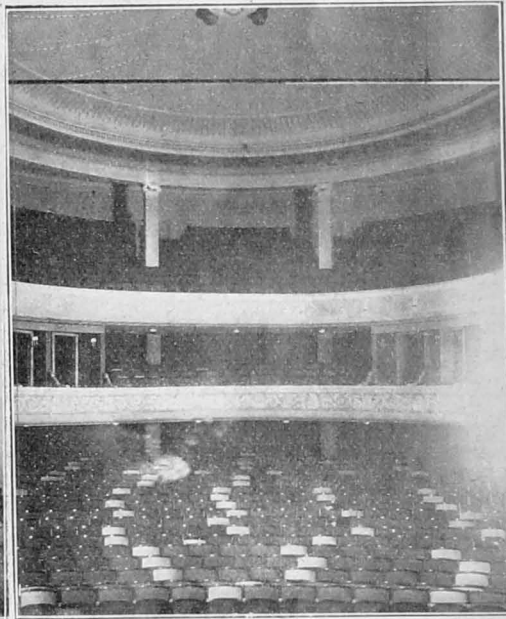
— *Operacja!* Miasto niech zarządzi rozdział, niech da dramatowi odpowiedniego kierownika z wyboru, literacki ten kierownik niech wynajdzie reżysera. Jeśli ci dwaj dopomogą do zmartwychwstania duszy teatru, tchną ją w publiczność, która musi pokochać teatr, gdyż inaczej teatr będzie pięknie złożoną budą. Trzeba pracować w porozumieniu, gdyż inaczej nie można, kochać teatr, a w sztuce widzieć odbłask słońca, nie pretkst do spędzenia wieczoru. Niema jednak teraz miejsca na miłość tam, gdzie jest nuda i snobizm, niema miejsca tego i na scenie, gdyż tam jest gorączka, gonitwa i rozpaczliwy wskutek tego system premierowy. Lecz spuśćmy kurtynę, gdyż dramatyczny nasz dyalog jest już zbyt smętny...

Lwów.

J[B.]



Front gmachu Teatru Polskiego w Warszawie.



Wnętrze widowni Teatru Polskiego

Nowy Teatr Polski w Warszawie.

Sztuka dramatyczna polska otrzymała z rąk polskich obywateli nowy Dom. Dom, tak doskonały pod względem zewnętrznej piękności i tak bogato zaopatrzonej w najznakomitsze wynalazki techniczne wewnątrz, że jest on jednym z czterech lub pięciu najświetniejszych gmachów teatralnych w Europie. Dom ten nosi nazwę „Nowego Teatru Polskiego“, i stanął w Warszawie na placu Karasia przy ulicy Oboźnej.

Aleksander hr. Fredro wołał przez usta zgorzkniałego Astolfia:

Dwa albo trzy teatry i wózek księgarza,
To teraz pole sławy polskiego pisarza!

Wolno, zanadto powoli, pole to jednak się rozszerza. Nowy Teatr Polski, wybudowany z inicjatywy zmarłego przed kilkoma miesiącami

Tomasza hr. Potockiego, p. Juliana Tołłoczki i d-ra Arnolda Szyfmana, dzięki gorliwemu współdziałaniu pp. Edwarda hr. Krasińskiego, Maurycego Spokornego, Michała Róga, Juliusza Hermana, d-ra Ksawerego Waszewskego, Juliana Gerlacha, Michała ks. Woronieckiego i Władysława Potockiego, a zawdzięczający swoją harmonijność murów, lekkość obok pakowności, użyteczne wyzyskanie każdego cala i wdzięk architektowi, p. Czesławowi Przybylskiemu. Nowy Teatr Polski musi zadowolić najbardziej ponurych Astolfów naszej inteligencji.

Towarzystwo Akcyjne budowy „eksploatacyi“ tego teatru wydzierżawiło gmach literatowi, d-rowi Arnoldowi Szyfmanowi, na lat dziesięć i pół za sumę 40.000 rubli rocznej tenuty.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok V.

Warszawa, dnia 25 stycznia 1913 roku.

№ 4.

Józef Weysenhoff.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone
przez autora i wydawców.

GROMADA.

Powieść ziemiańska.

18

— Szkoda zatem, że pani nie wzięła udziału we wczorajszej naradzie o szkole rolniczej; skorzystałobyśmy z pani doświadczenia...

— Ach, narady! — — Panie Czemski, my, kobiety, jesteśmy od wykonywania waszych planów męzkich... o ile te plany trafiają nam do serc i sumień.

— Czyli — uśmiechnął się Czemski — od potwierdzania lub odrzucania naszych projektów?

— Nie. Pomagamy wam, gdy czujemy się dosyć silnymi, aby pomódz; a silne jesteśmy tylko wtedy, gdy kochamy... człowieka, czy sprawę.

Czemski zamilkł, rozważając te słowa. Ale pani Jadwiga chciała widocznie do czegoś praktycznego się dogadać.

— Słyszałam wasze rozprawy wczoraj... Jabym się na ten przedmiot zapatrywała bardziej ze stanowiska użytku...

— Nie dobrze rozumiem pani — —

— Trzebaby stworzyć szkołę taką, jakiej lud nasz chce i potrzebuje.

— Któż temu przeczył?!

— Może nikt — — ale właściwie dyskutujecie panowie głównie o tem, do którego z obozów politycznych należy przygotować wychowawców szkoły rolniczej. Jabym ich raczej kierowała na dobrych rolników.

— To cel główny, przyznaję. Jednak ktoś musi kierować szkołą, a wybór kierowników nie jest rzeczą obojętną.

— Naturalnie; potrzeba zawodowców.

— I ludzi... idących w przyszłość.

— To frazes... z przeproszeniem, panie Czemski; wszyscy idziemy w przyszłość.

— Chronologicznie — tak; lecz nie wszyscy postępowo, ewolucyjnie, szanowna pani.

— Zwycięży mnie pan w teorii — rzekła pani Jadwiga z udaną może pokorą — ale w tym wypadku praktycznym, czy pan sądzi, że szkołę rolniczą ludową poprowadzą lepiej zawołani gospodarze wiejscy, czy ludzie z miast, nawet bardzo uczeni.

Stefan spostrzegł, że pani Godziębina wchodzi w samą istotę zatargu, że więc musiała uważnie śledzić wczorajszą dyskusję. Odpowiedział:

— Do kierownictwa trzeba jednych i drugich: dobrych praktyków i ludzi... ogarniających dalsze i wyższe cele, do których lud należy prowadzić... raczej... rozumiejących to, czego lud nasz, jeszcze surowy, choć genialny, nie potrafi sam sformułować.

— I tych drugich, tych znawców pragnień i przeznaczeń ludu, pan odnajduje po miastach?

— Przeważnie — odrzekł Stefan bez należytej stanowczości w głosie.

Przypomniały mu się podobne rozmowy z Manieczką; mawiała ona inaczej, z młodszym temperamentem, ale właściwie to samo. Pani Jadwiga dwiema pro-

stemi uwagami w formie zapytań zachwiała w nim bardziej jego wnioski, niż wszystkie wczorajsze wywody. Kto wie, rzeczywiście, czy ta szlachta wiejska, to jest: najlepsi z nich robotnicy, czy nie są zdolniejsi do pracy z ludem, niż my, ludowcy teoretyczni?... Siedzą pospołu na ziemi od wieków, przywykli do siebie nawzajem; szlachta pozbyła się wielu nałogów panowania, lud zaczyna pozbywać się nieufności do szlachty. POCO odgradzać obie warstwy ziemiańskie przez hasła separatystyczne? Może to nawet grzech przeciw przyszłości i postępowi?

Zamilkł, idąc obok pani Jadwigi, uśmiechniętej uprzejmie, jakby świadomie dającej mu czas do namysłu. A ona, zgadując kierunek jego myśli i rozgrzanie serdeczne, spróbowała rozmowy poufniejszej. Najuczciwsza kobieta wyczuwa, kiedy jest miła mężczyźnie — i że wtedy wszystko, co mu powie, przyjęte zostanie bez urazy, choćby było poniekąd reprimandą.

— Mówmy szczerze, panie Czemski! Każdy z nas chce zająć miejsce przyzwoite w Polsce ludowej. Jest nas dużo szlachty, inteligencji... jednym słowem, ludzi, którzy coś robią. Bo dotąd my wszystko robimy w społeczeństwie, oprócz pracy ręcznej. Z ludu podnoszą się dopiero nieliczne indywidua i to ku nam, do nas wyciągają ręce. Ich miliony są dotychczas nieświadome swych ideałów obywatelskich. Ale my, klasa dzisiaj przodująca, bądźmy zgodni między sobą przynajmniej co do wskazywania drogi ludowi. Bo inaczej, zamiast postępu, wprowadzimy zamęt, rozszerzymy zgorzelenie wojny domowej w całym kraju. I myślimy też o sobie, o naszym losie i udziale w przyszło-



Kühle, Miksche i Türk
 Właściciel **B. ŻURKOWSKI**
WARSZAWA, ALEJE JEROZOLIMSKIE 43.
TEL. 31.27.
 APARATY FOTOGRAFICZNE dla p. p. Amatorów i Zawodowców oraz wszelkie przybory do tychże.
 LATARNIE CZARNOKSIĘZKIE dziecięce i szkolne,
 KINEMATOGRAFY dziecięce i teatralne,
 LORNETKI teatr. i przyrządowe.
 Towar gwarantowany.
 Ceny najniższe — fabryczne.

7409— **ZAKŁAD**
Lecznicy dla przychodzących
 z chorobami żołądka i kiszki
Dra Tadeusza Wilczyńskiego
 Al. Jerozolimska № 35. Tel 282-25,
 przyjęcia od 9—10 r., od 1—3 i 6—7 p.p.

Prosimy, o pomoc dla bardzo biednej Wdowy z dwójkiem dzieci, na opłacenie wpisu. Ofiary dla Zygmunta Ch. proszę nadsyłać do naszej Administracji.

PARFUM
ROSE D'ORSAY
 17, RUE DE LA PAIX, PARIS


F. WORONIECKI Warszawa, CZYSTA № 2.
Wykwintne Precyzyjne ZEGARY i ZEGARKI.

AMERYKAŃSKIE
Towarzystwo Fibry Wulkanizowanej
 IMPORT FABRYKA
 Ameryk. fibry wulkanizowanej artykułów technicznych
 najlepszego gatunku. Z FIBRY.
 Wszelkie wyroby z Fibry dla celów technicznych.
 KONTO BANKOWE: BANK HANDLOWY, w WARSZAWIE.
Adres telegraficzny: „Fiber“.
 Warszawa, Ogrodowa № 10. Telefon № 287-56.

A.TAHN & C^o WARSZAWA LESZNO 86
 POLECAJĄ KORKOWA IZOLACJE I.T.P.
 TEKSTURĘ SMOŁOWCOWA LAKI—SMOŁE




Jedynem i najwłaściwszem oświetleniem mieszkań współczesnych tak pod względem kosztów, jak również i higieny jest oświetlenie naftowe. Świetliwem XX stulecia jest nafta „Kryształ” Towarz. Braci Nobel. O ile kto zechce zadać sobie trochę trudu utrzymywania lamp w należytym porządku, to dzięki naftcie „Kryształ” osiąga idealnie przyjemne i higieniczne oświetlenie swego ogniska domowego.
Niecała № 4. Tel. 223-20 i 223-40.

Nowo otwarty **Magazyn Broni**
 POD FIRMA
R. Gliniecki i B. Wierzejski
 w Krakowie, ul. Szewska 2.
 poleca bogaty wybór broni wszelkich systemów, przyborów myśliwskich, sportowych, oraz własną pracownię i warsztaty reparacyjne.


Najlepsze
 krakowskiej fabryki
„ISKRA”
 farby artystyczne olejne
 akwarelowe
 Ceny i gatunek bez konkurencji

GŁÓWNY SKŁAD NA KRÓL. i CESARSTWO **Ż. Bośniacki** w DĄBROWIE GÓRNICZEJ.
 Reprezent.: **A. LANGOWSKI** i **S. KRASNODEBSKI** w Warszawie, Nowogrodzka № 6 1/2, tel. 180-14.